

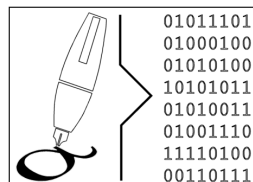
MICHAEL MOORCOCK

ZNIKAJĄCA WIEŻA

Sagi o Elryku

Tom V

Przełożył: Sławomir Janicki



Tytuł oryginału:

The Vanishing Tower

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1977 r.

Księga Pierwsza

Męczarnie ostatniego władcy

... Tak więc Elryk opuścił Jharkor w poszukiwaniu czarownika, który wyrządził mu wiele krzywd.

Kronika Czarnego Miecza

Rozdział 1

W LORMYRZE

Zimny księżyc oświetlał bladym światłem spokojne morze. Statek stał zakotwiczony przy niezamieszkanym wybrzeżu. Z pokładu spuszczone szalupę, kołysała się lekko na linach. Dwie postacie owinięte w długie peleryny przyglądały się marynarzom, próbując jednocześnie utrzymać konie niecierpliwie stukające kopytami po pokładzie. Rumaki rżały, wodziły wokół przerażonym wzrokiem.

Niższy mężczyzna skrócił jeszcze bardziej wodze swojego konia i mruknął:

— Czy to naprawdę konieczne? Moglibyśmy wysiąść w Trepesaz, albo przynajmniej w jakiejś wiosce rybackiej, gdzie jest oberża. Choćby nawet bardzo nędzna.

— Drogi Moonglumie, chcę, aby nasze przybycie do Lormyru pozostało tajemnicą. Gdyby Theleb K'aara dowiedział się o moim przyjeździe, uciekłyby po raz kolejny i pościg trzeba by było rozpocząć na nowo. Sprawiłoby ci to przyjemność?

Moonglum wzruszył ramionami.

— Ciągle myślę o tym polowaniu na czarodzieja. Ono jest właśnie ucieczką. Ścigasz go, zamiast podążać za swoim losem.

Elryk powoli obrócił głowę. W świetle księżycy jego twarz zdawała się marmurowo biała, a rubinowe oczy lśniły melancholijnym blaskiem.

— I co z tego? Jeśli nie chcesz, nie musisz mi towarzyszyć.

Moonglum znowu wzruszył ramionami.

— Tak, wiem. Ale być może jestem z tobą z tych samych powodów, które każą ci bez wytchnienia gonić za czarownikiem z Pan Tang. . . — uśmiechnął się.

— O tym jednak dosyć już rozmawialiśmy. Nieprawdaż, panie Elryku?

— Rozmowa do niczego nie prowadzi — przyznał Elryk.

Poklepał po pysku swojego wierzchowca. Marynarze ubrani w stroje z kolorowego jedwabiu, typowe dla Tarkeshitów, przyszedli po ich konie. Założyli rumakom worki na głowy, by stłumić prychnanie, i sprawnie umieścili zwierzęta w łodzi.

Wydawało się, że kopyta mogą przedziurawić dno. Elryk i Moonglum przymocowali sobie bagaże do pleców i zsunęli się po linach. Marynarze odepchnęli bosakami łódkę od burty statku, zaczęli wiosłować w kierunku brzegu.

Kończyła się jesień i powietrze było chłodne. Moonglum wzdrygnął się obserwując nagie skały, do których się zbliżali.

— Nadchodzi zima — powiedział. — Lepiej bym się czuł w jakiejś przytulnej oberży niż na tym pustkowi. Kiedy skończymy z czarownikiem, może byśmy tak pojechali do Jadmaru albo któregoś z wielkich miast Yilmiryjskich, sprawdzić czy łagodniejszy klimat poprawi nasze samopoczucie?

Elryk nie odpowiedział. Patrzył w ciemność i wydawało się, że odkrywa w tej chwili zakamarki swojej duszy, które go niezbyt zachwyciły.

Z westchnieniem Moonglum zacisnął wargi. Opatulił się ciasniej peleryną zacierając skostniałe dłonie. Był przyzwyczajony do milczenia towarzysza, ale wcale mu się ono nie podobało. Gdzieś na plaży krzyknął ptak, w dali zaskowyczało zwierzę. Marynarze mruczając coś cicho między sobą mocniej nacisnęli na wiosła.

Chmury całkowicie odsłoniły księżyc; oświetlił lepiej bladą twarz Elryka. Jego oczy podobne były do dwóch węglików wyjętych wprost z piekła.

Pusty brzeg stawał się coraz wyraźniejszy. Marynarze odłożyli wiosła w chwili, gdy dno łódki otarło się o piasek. Konie wyczuły bliskość lądu, wierzgnęły stukając kopytami. Elryk i Moonglum wstali, aby je uspokoić.

Dwaj marynarze wskoczyli do lodowatej wody, by przytrzymać łódkę, trzeci głaszcząc po karku konia, odezwał się nie patrząc Elrykowi w twarz.

— Kapitan powiedział, że zapłacisz, panie, gdy dotrzemy do brzegu Lormyru.

Z gniewnym warknięciem Elryk wsunął rękę pod pelerynę i wyciągnął szlachetny kamień, który ostro zabłysnął w nocnym świetle. Z przytłumionym okrzykiem marynarz wyciągnął rękę i chwycił klejnot.

— Na krew Xiombarga! Nigdy jeszcze nie widziałem tak wspaniałego klejnotu!

Elryk nie słuchając go, poprowadził swojego wierzchowca przez wodę. Za nim, klnąc i kręcąc energicznie głową, ruszył Moonglum.

Ze śmiechem marynarze odepchnęli szalupę na morze.

Gdy łódka zniknęła w ciemnościach, obaj towarzysze wsiedli na konie. Moonglum nie opanował się i zauważył:

— Ten kamień był wart sto takich przejażdżek!

— I co z tego? — zapytał Elryk.

Spiął konia ostrogami i skierował go ku mniej stromej części wybrzeża.

— Wygląda na to, że jest tam przejście. Widać po roślinności.

— Czy mogę zauważyć — ciągnął Moonglum gorzkim tonem — że z powodu twej rozrzutności, Elryku, możemy zostać bez środków utrzymania. Gdybym przezornie nie odłożył części z tego, co przyniosła nam ta branka, którą złapaliśmy i sprzedaliśmy na targu w Dhakos, byłibyśmy w tej chwili biedakami.

— Pchi! — rzucił Elryk bez zbytniego zainteresowania i ruszył wzdłuż ścieżki pomiędzy skałami.

Zirytowany Moonglum jeszcze raz potrząsnął głową i pojechał za swoim kompanem.

O świcie cwałowali wśród dolin i niewysokich wzgórz, taki był bowiem krajobraz południowego półwyspu Lormyr.

— Skoro Theleb K'aarn potrzebuje bogatych protektorów — wyjaśniał po drodze Elryk — uda się z pewnością do stolicy, Josazu, gdzie panuje Król Montan. Zaproponuje swoje usługi jakiemuś arystokracie, a być może nawet samemu Montanowi.

— A my, kiedy dotrzemy do stolicy, Elryku? — spytał Moonglum gapiąc się w chmury.

— Czeka, nas jeszcze wiele dni jazdy, mój Moonglumie.

Moonglum westchnął. Zapowiadało się na śnieżycę, a zwinięty i przytroczony do siodła namiot z cienkiego jedwabiu był przeznaczony do łagodniejszego klimatu. Podziękował bogom za to, że nie zapomniał o założeniu pod zbroję futrzanego kubraka i wełnianych spodni pod wierzchnie z czerwonego jedwabiu. Czapka zrobiona z żelaza, skóry i futra miała dwa nauszники, w tej chwili opuszczone. Peleryna z jeleniej skóry szczelnie otulała ciało.

Elryk jakby nie zdawał sobie sprawy z mrozu. Jego peleryna powiewała na wietrze, a pod nią miał na sobie tylko ciemnoniebieskie spodnie z cienkiego jedwabiu, czarną koszulę z wysokim kołnierzem z tego samego materiału oraz stalową zbroję czarnego koloru i taki sam kunsztownie grawerowany hełm. Duże juki były przymocowane po obu stronach siodła, także łuk i kołczan ze strzałami. U boku Elryka wisiał wielki miecz — Zwiastun Burzy, źródło zarówno jego mocy jak i nieszczęść. Po prawej stronie za pasem tkwił długi sztylet, który podarowała mu królowa Yishana z Jharkoru.

Moonglum również miał łuk i strzały. Przy lewym boku wisiał krótki i prosty miecz, a przy prawym długi w kształcie półksiężyca, taki jaki nosili ludzie z Elhweru, jego rodzinnej ziemi. Oba ostrza były umieszczone w skórzanych, wspaniale zdobionych złotem i purpurą ilmioryjskich pochwach.

Obaj podróżni tym, którzy wcześniej o nich nie słyszeli, przypominali z wyglądu po prostu najemników.

Ich rumaki bez wysiłku przemierzały rozległy step. Były to shazaryjskie ogierzy, słynne we wszystkich Młodych Królestwach z mądrości i dzielności. Po wielu tygodniach, spędzonych w pętach na pokładzie statku Farkeshitów, z radością galopowały teraz słoneczną doliną.

Widzieli małe skupiska niskich, kamiennych domów o słomianych dachach i starannie omijali je z daleka. Lormyr był jednym z najstarszych spośród Młó-

dych Królestw i część historii świata tu właśnie się rozegrała. Nawet Melniboné nie słyszeli o wielkich wyczynach bohatera z pierwszego okresu Lormyru, Aubeca z Maladoru z prowincji Klant. Mówiono o nim, że wykroił to nowe terytorium z samego Chaosu istniejącego na Krańcu Świata. Ale Lormyr od tamtych czasów wielkiej potęgi znacznie się zmienił. Ten wciąż największy naród na południowym zachodzie z biegiem wieków stawał się coraz bardziej cywilizowany. Elryk i Moonglum przejeżdżali obok zadbanych farm, dobrze utrzymanych pól i winnic otoczonych starymi, porośniętymi mchem murami. Lormyr zamieszkiwał lud spokojny, w porównaniu z gwałtownymi ludami z północnego zachodu, takimi jak Jharkor, Tarkesh czy Dharijor, które dwaj towarzysze już dawno zostawili za sobą.

Kiedy kłusowali, Moonglum zauważył:

— Theleb K'aarn mógłby sprowadzić tu wiele nieszczęść, Elryku. Ten kraj przypomina mi mój piękny, rodzinny Elhwer.

Elryk przytaknął.

— Dla Lormyru burzliwe lata skończyły się, gdy uwolnił się z więzi Melniboné i został pierwszym niepodległym narodem. Lubię ten krajobraz; uspokaja mnie. Mamy więc teraz kolejny powód, aby odnaleźć czarownika, zanim znowu coś wymyśli.

Moonglum uśmiechnął się łagodnie.

— Bądź ostrożny, mój panie. Wygląda bowiem na to, że znowu ulegasz sentymentom, którymi podobno gardzisz. . .

Elryk zeszywniał.

— A wiec śpieszmy do Josazu.

— Im szybciej dotrzemy do jakiegoś miasta, gdzie znajdziemy oberżę, tym lepiej — przyznał Moonglum jeszcze ciałniej owijając się peleryną.

— Módl się więc, aby dusza czarownika wróciła na Kraniec, Moonglumie, bowiem wtedy będę mógł usiąść z tobą przy kominku i spędzić całą zimę tak, jak tylko zechcesz.

I Elryk pogalopował dalej w zapadającym nad cichymi wzgórzami zmierzchu.

Rozdział 2

POTWORY

Olbrzymie rzeki rozstawiły Lormyr i uczyniły go bogatym oraz potężnym. Po trzech dniach podróży, kiedy zaczął już padać śnieg, a Elryk i Moonglum opuścili wzgórza, zobaczyli przed sobą spieniony nurt rzeki Schlan, dopływu Zaphra-Trepek, której źródła znajdowały się daleko za Josaz, a która wpadała do morza w Trepezaz.

W tej części rzeki nie zbudowano ani jednego mostu, ponieważ Schlan była jeszcze poprzecinana wieloma jazami i wielkimi wodospadami. W starym mieście Stagasaz, gdzie Schlan wpadała do Zaphra-Trepek, Elryk miał zamiar wysłać Moongluma, aby kupił małą barkę, którą dopłynęliby aż do Josaz. Byli prawie pewni, że znajdą tam Theleb K'aarna.

Jechali wzdłuż brzegu Schlan w nadziei, że dotrą do przedmieść Stagasazu przed zapadnięciem zmroku. Omijali wioski rybackie i siedziby drobnych szlachciców. Czasami rybacy machali do nich przyjaźnie z brzegu rzeki, ale jeźdźcy nie zatrzymywali się. Wszyscy rybacy mieli typowe cechy mieszkańców tego regionu — ogorzałe twarze i bujne wąsy. Nosili płócienne bogato haftowane bluzy i wysokie, skórzane buty sięgające aż do połowy ud. W dawnych czasach ludzie ci zawsze byli gotowi porzucić sieci i chwycić za włócznie i topory, aby bronić swojej ziemi.

— Czy nie moglibyśmy wziąć od nich jakiejś łódki? — zaproponował Moonglum, ale Elryk potrząsnął przecząco głową.

— Rybacy z Schlan są bardzo gadatliwi. Wieść o naszym przybyciu mogłaby nas wyprzedzić.

— Wydaje mi się, że jesteś zbyt ostrożny...

— Bo wielokrotnie byłem za mało ostrożny.

Dotarli do kolejnych jazów; olbrzymie, czarne skały błyszcząły w półcieniu. Nie było tu żadnej wioski, żadnej siedziby ludzkiej, a ścieżka wzdłuż poszarpanego brzegu pięła się tak wąska i zdradliwa, że Elryk i Moonglum musieli zwolnić i uważnie prowadzić wierzchowce.

— Nie dotrzemy do Stagasaz przed nocą! — powiedział Moonglum starając się przekrzyczeć huk wodospadu.

Elryk pokiwał głową.

— Rozbijemy obóz koło jazów, o tam.

Wciąż padał śnieg, a wiatr dął im prosto w twarz. Coraz trudniej było trzymać się ścieżki, która wiła się teraz jak wąż. Jednak w końcu grzmot wodospadu został za nimi, woda się uspokoiła. Ścieżka była znów szersza. Trochę podniesieni na duchu rozejrzeli się po równinie w poszukiwaniu miejsca na obozowisko.

Moonglum pierwszy zauważył niebezpieczeństwo. Niepewnie wskazał na pomocne niebo.

— Elryku, co myślisz o tych tam?

Elryk spojrział w górę strzepując płatki śniegu z powiek. Z początku niczego nie widział, potem zmarszczył czoło i zmrużył oczy.

Czarne plamy. Skrzydła.

Z tej odległości nie można było ocenić ich wielkości, ale nie wyglądały jak ptaki. Przypomniała mu się inna skrzydlata kreatura — stworzenie, które widział po raz ostatni, gdy razem z Władcami Morza uciekał z płonącego Imrryru i gdy lud Melniboné mścił się grabiąc, niszcząc i paląc.

Widział tam wtedy rzeczy straszne.

Złociste barki, które ruszyły do ataku, gdy opuścili Śpiące Miasto.

Wielkie smoki z Chwalebного Cesarstwa.

Te stwory w oddali podobne były do smoków...

Czyżby Melnibonéanie znaleźli sposób na obudzenie smoków przed upływem normalnego czasu? Czy wysłali je w pościg za Elrykiem, który uderzył niegdyś na swoich, aby zemścić się na kuzynie Yyrkoonie, gdy ów zajął jego miejsce na Rubinowym Tronie Imrryru?

W tej chwili twarz Elryka była posępną maską. Jego oczy błyszcząły jak rubiny, ręka skierowała się ku rękojeści runicznego miecza, Zwiastuna Burzy. Albinos walczył z rosnącym uczuciem przerażenia.

Bowiem kształty na niebie zmieniły się. Nie przypominały już smoków, lecz raczej wielokolorowe łabędzie, których błyszczące pióra odbijały ostatnie promyki dnia.

— Są olbrzymie! — krzyknął Moonglum.

— Wyciągnij swój miecz. Uderzymy teraz i módlmy się do bogów Elhweru, kimkolwiek by oni byli. To są wytwory magii, które zapewne wysłał Theleb K'aarn, aby nas zniszczyły. Mój respekt dla tego spiskowca wciąż rośnie.

— Ale czym one są, Elryku?

— Stworzenia z Chaosu. W Melniboné nazywają je Oonai. Mogą przybierać dowolne kształty. Tylko czarownik o wielkiej mocy i dyscyplinie umysłu, ten, który zna odpowiednie zaklęcia, może je przywołać i nadać im kształt. Niektórzy

spośród moich przodków umieli to robić, ale przysięgłbym, że żaden zaklinacz z Pan Tang nie jest zdolny zapanować nad tymi chimerami!

— Czy nie znasz żadnego zaklęcia, które by odgoniło je od nas?

— Nic nie przychodzi mi na myśl. Tylko taki Władca Chaosu, jak Arioch, mój patron-demon, mógłby je zakląć.

Moonglum wzdrygnął się.

— A więc błagam cię, wezwij swojego Ariocha!

Elryk spojrział na niego rozbawiony.

— Wielki musi być twój strach, skoro jesteś gotów znaleźć się w obecności Ariocha.

Moonglum wyjął długi miecz o zakrzywionym ostrzu.

— Być może nie lecą one do nas, ale lepiej przygotujmy się.

— Przygotować się? — zauważył Elryk z uśmiechem.

Moonglum wyjął drugi miecz i obwinął wodze wokół ramienia.

Na niebie rozległy się krzyki.

Konie zarżały dziko.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Kiedy stworzenia otwierały dzioby, wi-
dać było długie języki oraz cienkie i ostre kły. Zaczęły obniżać się ku jeźdźcom.
To nie były łabędzie. . .

Elryk podniósł swój wielki miecz ku niebu. Rozległ się dziwny jęk i w tej
samej chwili migotliwa, czarna poświata ostro podkreśliła rysy albinosa.

Shazaryjskie ogiery skuliły się w chwili, gdy słowa zaczęły wypływać z wy-
krzywionych w grymasie ust Elryka.

— Ariochu! Ariochu! Władco Siedmiu Ciemności, Księżę Chaosu, pomóż mi!
Pomóż mi w tej chwili, Ariochu!

Rumak Moongluma zaczął cofać się w panice i mały jeździec miał kłopoty
z uspokojeniem go. Twarz wojownika była niemal równie blada jak oblicze Elry-
ka.

— Ariochu!

Na niebie chimery latały wkoło.

— Ariochu! Krew i dusze, jeśli mi teraz pomożesz!

Kilka metrów dalej ukazała się ciemna mgła, która przybyła znikąd. Wydawa-
ło się, iż krążąc przyjmuje dziwne i odrażające kształty.

— Ariochu!

Bardzo szybko mgła gęstniała.

— Ariochu! Błagani Cię! Pomóż mi!

Rumak zaczął wierzgać i przewracać oczami w panice, ale Elryk utrzymał
się w siodle, a zaciśnięte wargi czyniły go podobnym do krwawego wilka. W tym
czasie mgła zawirowała i rozplynęła się, ukazując nieludzką, dziwną twarz. Twarz
ta była pełna zarówno piękna, jak i czystego zła.

Moonglum musiał odwrócić wzrok.

Usta zjawy były piękne, głos delikatny z gwizdzącym akcentem. Mgła otoczyła twarz szkarłatno-szmaragdową ramą.

— Pozdrawiam cię, Elryku — powiedziała zjawa. — O ty, najdroższe spośród moich dzieci.

— Ariochu, pomóż mi!

— Niestety nie mogę. . .

W głosie demona brzmiał żal.

— Musisz mi pomóc!

Chimery wahały się. Odkryły mgliste zjawisko.

— To niemożliwe, o najśłodszy spośród moich niewolników. Inne, ważne rzeczy dzieją się w Królestwie Chaosu. Rzeczy o olbrzymiej wadze. Zostałem tam wezwany. Nie mogę ci pomóc.

— Ariochu! Błagam cię!

— Mimo wszystko pamiętaj o swojej przysiędze i pozostań lojalny wobec Chaosu. Żegnaj, Elryku!

Ciemna mgła zniknęła.

Chimery zbliżyły się.

Elryk głęboko westchnął. Miecz runiczny w jego dłoni jakby począł tracić swą moc.

Moonglum splunął na ziemię.

— Twój patron jest potężny, lecz niewiele nam z tego przyjdzie.

Wojownik zdążył szybko zeskoczyć z konia, nim wciąż zmieniająca kształty kreatura spadła na niego wyciągając ogromne szpony. Koń odwrócił się ku stworzeniu z Chaosu. Szczęknięty kły. Tam gdzie przed chwilą była głowa konia, buchał już tylko strumień krwi.

Oonai wzbijała się do góry niosąc głowę rumaka w tym czymś, co raz było dziobem, raz paszczą rekina, a kiedy indziej pyskiem pokrytym łuskami.

Moonglum podniósł się z ziemi, pewien nadchodzącej wielkimi krokami śmierci.

Teraz Elryk zeskoczył z wierzchowca i uderzył go po boku. Koń ruszył galopem w kierunku rzeki. Kolejna chimera poleciała za nim.

Tym razem z łap bestii ukazały się zniecka szpony, które po chwili zamknęły się na ciele konia. Wierzchowiec bezskutecznie szarpnął, starając się uciec ze straszliwego uścisku, który miażdżył mu żebra. Chimera wraz ze swoją ofiarą pofrunęła ku chmurom.

Zaczął padać gęsty śnieg, ale Elryk i Moonglum nie zwracali na to uwagi. Stojąc ramie przy ramieniu, oczekiwali na następny atak Oonai.

— Czy nie znasz innego zaklęcia, Elryku? — spytał spokojnie Moonglum.

Albinos potrząsnął głową.

— Nic co można by zastosować w tym przypadku. Oonai zawsze służyły ludziom z Melniboné. Nigdy nam nie zagrażały. Nie potrzebowaliśmy zaklęć. Ale

staram się...

Chimery krążyły nad ich głowami kracząc i gwizdząc. Jedna zapikowała nagle ku ziemi.

— Zawsze atakują pojedynczo — zauważył Elryk spokojnie, jakby obserwował owady w butelce. — Nigdy grupami. Nie wiem, z jakiego powodu...

Oonai wylądowała na ziemi i zmieniła się w coś, co przypominało słonia z głową krokodyla.

— Nie wygląda to zbyt estetycznie — powiedział Elryk.

Ziemia zdrząła, gdy stworzenie zaczęło szarżować w ich kierunku.

Stali przy sobie jak zrosnięci. Potwór już prawie wpadł na nich.

W ostatniej chwili usunęli się. Elryk rzucił się w jedną stronę, Moonglum w drugą. Chimera przebiegła pomiędzy nimi i Elryk ciał ją w bok.

Runiczny miecz wydał prawie lubieżny krzyk, gdy wgryzł się głęboko w ciało bestii. Ta momentalnie zmieniła się w plującego trucizną smoka.

Była już jednak ciężko ranna. Krew wylewała się strumieniami z jej ciała. Nie przestając krzyczeć, zaczęła coraz szybciej zmieniać kształt, jakby miała nadzieję uwolnić się tym sposobem od rany. Lecz czarna krew leciała jeszcze obficie, przemiany najwidoczniej powiększyły jedynie ranę.

Upadła na kolana, a pióra, łuski i skóra straciły swój blask. Po raz ostatni wzdrygnęła się i znieruchomiła. Było to już tylko stworzenie podobne do świni — duże i czarne — którego obwisłe ciało było najbrzydszą rzeczą, jaką kiedykolwiek Elryk i Moonglum widzieli.

Moonglum warknął:

— Nietrudno zrozumieć, dlaczego ta kreatura chce ciągle zmieniać wygląd...

Potem podniósł głowę.

Kolejne stworzenie właśnie spadało na nich. To podobne było do skrzydlatego wieloryba o długich, zagiętych kłach i ogonie podobnym do olbrzymiego korkociągu. W chwili gdy wylądowało, zmieniło wygląd. Atakująca chimera przybrała ludzki kształt. Coś dziwnego ruszyło w ich kierunku; muskularne było i piękne, dwa razy większe od Elryka, nagie, o doskonałych proporcjach. Wzrok tej postaci był jednak pusty, a wargi obwisłe niczym u niedorozwiniętego dziecka. Stworzenie podniosło wielkie ręce, jak gdyby chciało wziąć zabawkę.

Tym razem Elryk i Moonglum uderzyli jednocześnie. Każdy wybrał inną rękę. Ostrze Moongluma ucięło przeciwnikowi dłoń, a Elryk odciął dwa palce, zanim Oonai zdążyła jeszcze raz zmienić swój wygląd. Stała się najpierw ośmiornicą, później tygrysem, następnie mieszanką obydwóch, a wreszcie skałą, której jedyna szczelina odstaniała wielkie, białe kły.

Sapiąc, obaj towarzysze przygotowali się do kolejnego ataku. U spodu skały płynęła krew, co podsunęło Elrykowi pewien pomysł. Z dzikim okrzykiem skoczył do przodu, podniósł miecz i spuścił go na skałę, przecinając ją na pół.

W chwili gdy kształt potwora zmieniał się, aby ukazać stworzenie o świńskim wyglądzie, takie jak poprzednie Oonai, czarny miecz wydał dziwny dźwięk, było to coś w rodzaju śmiechu. Przeciwnik nie żył, a jego krew i wnętrzności leżały rozlane na ziemi.

Wtedy następna Oonai zaatakowała. Jej ciało było koloru pomarańczowego, a miała kształt skrzydlatego węża o długości tysiąca pierścieni. Elryk uderzył, ale wąż był szybszy. Chimera obserwowała bowiem walkę swych krewniaczek z wojownikami i zdawała sobie sprawę z ich zręczności. Ramiona Elryka błyskawicznie sparaliżował uścisk pierścieni, a sam bohater został porwany w powietrze. W tym samym czasie Moonglum uległ innej chimerze.

Elryk oczekiwał śmierci, jaka spotkała ich wierzchowce. Byłoby to mimo wszystko lepsze od powolnej agonii przyrzeczonej mu przez Theleb K'aarna.

Lecz wielkie, łuskowate skrzydła uderzały silnie w powietrze. Żaden dziób nie otworzył się, aby urwać im głowy.

Elryka ogarnęła rozpacz, gdy zdał sobie sprawę z faktu, że on i Moonglum są w drodze na pomoc, ku wielkiemu lormyryjskiemu stepowi. Bez wątpienia Theleb K'aarn oczekiwał ich na końcu tej podróży.

Rozdział 3

PANI PTAKÓW

Zapadła noc, a chimery nie zwalniały lotu. Mimo wysiłków Elryka uścisk pierścieni nie zelżał. Bohater mocno trzymając runiczny miecz, nerwowo poszukiwał w myślach jakiegoś sposobu, który pomógłby mu pokonać potwory.

Gdyby tylko znał odpowiednie zaklęcie. . .

Starął się nie myśleć o tym, co zrobi z nim Theleb K'aarn; jeśli to on wysłał przeciwko nim Oonai.

Czarodziejskie zdolności Elryka polegały głównie na mocy, którą miał nad różnymi pierwotnymi żywiołami jak powietrze, ogień, woda i eter, i nad istotami, w tajemniczy sposób związanymi z florą i fauną Ziemi.

Zdecydował, że jego ostatnią nadzieją jest wezwanie na pomoc Fileet, Pani Ptaków, która żyła w królestwie usytuowanym na innym planie niż Ziemia. Nie pamiętał jednak słów inwokacji. A nawet gdyby je sobie przypomniał, jego dusza musiała się dopasować do nich. Trzeba odnaleźć odpowiedni rytm prośby, dokładne słowa. Wszystko to należało zrobić jeszcze przed rozpoczęciem inwokacji do Fileet. Pani Ptaków była równie trudna do wezwania jak Arioch.

W śnieżnej nawałnicy wydało mu się, że słyszy, jak Moonglum coś mówi. Nie mógł zrozumieć słów.

— O co chodzi?! — krzyknął.

— Chciałem. . . tylko. . . dowiedzieć się. . . czy. . . jeszcze żyjesz, Elryku.

— Ledwo.

Jego twarz okrył szron, a lód utworzył pewien rodzaj pancerza na wełnie. Całe ciało miał obolałe od uścisku pierścieni i ukąszeń wiatru.

Chimery niosły ich coraz bardziej na północ. Elryk zmusił się do opanowania oszalałych myśli. Zagłębił się w trans, aby odnaleźć w duszy wiedzę swoich przodków.

O świcie chmury rozproszyły się, czerwone promienie słońca wyglądały na śniegu jak krew. Od jednego krańca horyzontu do drugiego rozciągał się biały step.

Stworzenia leciały dalej ciągle utrzymując to samo tempo.

Powoli Elryk wychodził z transu. Wypowiedział modlitwę do swoich podejrzliwych bogów, aby pomogli mu odnaleźć odpowiednią inwokację. Wargi miał prawie zlepione mrozem. Oblizwał je ostrożnie, przekonując się, że są równie ciepłe jak lód. Wciągnął do płuc wiatr i gdy podnosił głowę ku niebu, zakaszał głucho. Jego czerwone oczy stały się szkliste. Zmusił usta do wypowiedzenia w Szlachetnej Mowie Starego Melniboné, w języku, który nie pasował do ludzkich ust, dziwnych sylab, ciężkich słów złożonych głównie z samogłosek.

— Fileet — wyszeptał Elryk, Potem rozpoczął inwokację. A kiedy śpiew wydobywał się z jego piersi, runiczny miecz rozgrzał się w dłoni albinosa i przekazał mu swą energię tak, aby słowa straszliwego śpiewu rozniosły się po mroźnym niebie.

*Na pióra i krew nasze losy zostały połączone
Człowiek i ptak na zawsze pogodzone
Przed bogami wszechmogącymi się pogodziliśmy
Na starym ołtarzu akt poświęciliśmy
On nie pozwala ni tobie ni mnie się złamać
Fileet, twe skrzydła ze snu nad niebem lubią panować
Wspomnij teraz ten związek niezłomny
Dopomóż bratu gdy wzywa pokorny*

Apel miał szersze znaczenie niż słowa inwokacji. Zawierał abstrakcyjne myśli, które tworzyły w umyśle obrazy. Miały one trwać przez cały czas śpiewu. Emocje i wspomnienia trzeba było wyostrzyć, uczynić je uczestnikami wezwania. Jeśli by pominięto najmniejszy szczegół, inwokacja pozostałaby bez odzewu.

Wiele wieków temu Królowie-Czarownicy z Melniboné zawarli pakt z Fileet, Panią Ptaków: każdy ptak, który miał gniazdo w obrębie Imrryr był chroniony, żaden nie został zabity przez Melnibonéan. Dotrzymano słowa i Śniące Miasto stało się schronieniem wszelkich gatunków ptaków, a jego wieże zostały dosłownie pokryte ich piórami.

Elryk śpiewając inwokację przypomniał sobie o pakcie i błagał Fileet, aby i ona pamiętała.

*Bracia i siostry z nieba
Przybywajcie, rozłóżcie swe skrzydła
Pomóżcie, słuchajcie mego wezwania*

Nie po raz pierwszy zwracał się do pierwotnych i im pokrewnych sił. Niedawno, w swojej walce z Theleb K'aarnem wzywał Maaashaastaaka, Pana Jaszczurek. Wcześniej jeszcze wzywał siły wiatru — sylfy, skarnaksy i haarshannsy.

Tymczasem wydawało się, że Fileet zmieniła się, że chyba nie pamięta już o swoich zobowiązaniach.

Cóż, teraz, kiedy Imrryr było tylko kupą ruin, mogła zdecydować się na zapomnienie o pakcie.

— *Fileet...*

Powtarzanie inwokacji wycieńczyło go. Nie miałyby siły zmierzyć się z Theleb K'aarnem, nawet gdyby w tej chwili miał po temu okazję.

— *Fileet...*

Nagle w powietrzu dał się słyszeć wszechobecny szum i olbrzymi cień padł na chimery, które niosły na północ Elryka i Moongluma.

Elryk podniósł wzrok, uśmiechnął się i powiedział:

— Dzięki ci, Fileet.

Niebo było czarne od ptaków. Orły i czyżyki, jaskółki, sępy, kruki, sokoły, dudki, gołębie, papugi, wrony, sowy i setki innych gatunków przybyło na wezwanie. Pióra błyszczały jak stal, a niebo wypełniło się dźwiękami z milionów dziobów.

Oonai podniosła swoją węzową głowę i zagwizdała. Zaczęła wściekle wywijać w powietrzu ogonem. Zmieniła kształt, stała się gigantycznym kondorem i poleciała ku chmurze ptaków. Te nie dały się oszukać. Stworzenie zostało od razu otoczone i zniknęło. Ze straszliwym krzykiem coś czarnego, w kształcie świni, rozsiewając wnętrności i krew, kręcąc się spadło na ziemię.

Inna chimera przybrała postać smoka, prawie takiego samego, jak te, które Elryk jako władca Melniboné miał na swoje rozkazy. Jednak ten smok był większy i nie posiadał nic z gracji Płomiennego Kła i jego towarzyszy. Kiedy zionął płonąca trucizną na sprzymierzeńców Elryka, pojawił się w powietrzu intensywny zapach spalonego mięsa i piór. Lecz ptaki przybywały coraz liczniej i ćwierkając, kracząc, kukając w hałasie miliona skrzydeł, sprawiły, iż i ta Oonai zniknęła. Jeszcze raz dał się słyszeć straszny krzyk, jeszcze raz pocięte stworzenie podobne do prosiaka spadło na ziemię.

Ptaki podzieliły się wówczas na dwie chmury, aby ustawić się przed chimera-
mi, które niosły Elryka i Moongluma. Przyjęły kształt dwóch olbrzymich grotów strzał. Na czele leciało dziesięć wielkich orłów. Spadły prosto na oczy Oonai. W chwili ataku chimera została zmuszona do zmiany kształtu. Natychmiast Elryk poczuł, że spada jak kamień. Całe ciało miał zeszytywniałe i myślał tylko o uchwyceniu Zwiastuna Burzy. Przeklęta Oonai. Został uratowany od stworzeń Chaosu tylko po to, aby się rozbić o ziemię.

Ale oto jego peleryna została pochwycona w locie i poczuł, że wisi w powietrzu. Podniósł wzrok i zobaczył kilka orłów trzymających szponami i dziobami jego ubranie, zwalniając upadek. Dzięki temu bezpiecznie wylądował na śniegu; nic mu się nie stało. Orły powróciły do wałki, tak samo jak te, które położyły Moongluma kilka metrów dalej. Ptaki rzuciły wszystkie siły przeciwko ostatniej

Oonai.

Moonglum podniósł miecz, który upuścił podczas upadku i zaczął masować sobie prawą łydkę.

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, by już nigdy więcej nie jeść drobiu — stwierdził przekonującym tonem. — Więc udało ci się odnaleźć odpowiednie zaklęcie?

— Tak.

Świniopodobne ciało upadło z głuchym łoskotem tuż obok nich.

Przez kilka chwil ptaki oddawały się dziwnemu tańcowi, po czym, świętując swoje zwycięstwo pozdrowiły obu towarzyszy i szybko się oddaliły. Po chwili na całym niebie nie było już ani jednego ptaka.

Elrykowi udało się poruszyć obolałymi członkami. Albinos włożył Zwiastuna Burzy do pochwy. Głęboko oddychając podniósł wzrok ku niebu i powiedział:

— Jeszcze raz ci dziękuję, Fileet.

Moonglum był jeszcze trochę oszołomiony.

— A jak wezwałeś te ptaki?

Elryk zdjął hełm, aby wytrzeć pot, bowiem w tym regionie zamieniłby się on błyskawicznie w lód.

— To był stary pakt zawarty przez moich przodków. Miałem trudności z przypomnieniem sobie słów inwokacji.

— Na szczęście udało ci się.

Albinos potrząsnął głową. Wyglądał na nieobecnego duchem. Założył z powrotem hełm i rozejrzał się po olbrzymim, zaśnieżonym stepie Lormyru.

Moonglum domyślił się, o czym myślał przyjaciel. Podrapał się po brodzie i powiedział:

— Chyba się zgubiliśmy, Elryku, mój panie. Czy wiesz może, gdzie się znajdujemy?

— Nie, nie wiem nawet, jak daleko zaniósł nas te stwory. Ale jestem raczej pewien, że leciały na pomoc, do Josazu. Jesteśmy dalej od stolicy, niż byliśmy, kiedy...

— Więc Theleb K'aarn też musi być gdzieś tutaj! Jeśli to on kazał zabrać nas do swojej kryjówki.

— To brzmi całkiem logicznie.

— Więc idziemy dalej, na pomoc?

— Nie sądzę.

— Dlaczego?

— Z dwóch powodów. Być może Theleb K'aarn chciał nas rzucić w jakiś odległy zakątek świata, abyśmy nie mogli mu przeszkadzać. Byłoby to bezpieczniejsze niż spotkanie z nami i ryzykowanie, że los obróci się przeciwko niemu...

— Przyznaję ci rację. A jaki jest drugi powód?

— Zrobimy lepiej docierając do Josazu, gdzie będziemy mogli kupić konie i żywność oraz dowiedzieć się czegoś o Theleb K'aaraie, nawet jeśli go tam nie ma. Poza tym może uda nam się kupić sanie, dzięki którym moglibyśmy przemieszczać się szybciej.

— Niech się więc tak stanie. Ale wydaje mi się, że nie mamy zbyt wielkich szans dotrzeć gdziekolwiek po tym śniegu.

— Trzeba ruszać i mieć nadzieję, że dojdziemy do jakiejś nieobludzonej rzeki i spotkamy tam statek.

— Mała nadzieja.

— Nie sposób nie przyznać ci racji.

Wezwanie Fileet wyczerpało wszystkie jego siły. Wiedział, że umrze, ale nie robiło to na nim wrażenia. Śmierć, którą miał w perspektywie, była o wiele przyjemniejsza od wielu innych, jakie mu ostatnio groziły. . . i bez wątpienia o wiele mniej bolesna od tej, którą przyrzekł mu Theleb K'aarn.

Ruszyli pośród śniegu, powoli, na południe. Byli tylko dwiema kropeczkami na zmrożonym stepie. Dwoma maleńkimi istotami z ciała i ciepła na wielkiej, lodowej równinie.

Rozdział 4

ZAMEK NA PUSTKOWIU

Minął dzień, potem noc, jeszcze jeden dzień, a dwaj wędrowcy dalej błędzili. Już dawno stracili orientację. Nadeszła noc, a oni wciąż maszerowali. Nie mogli mówić. Ich kości były sztywne, mięśnie zdrętwiały.

Mróz i wyczerpanie pozbawiły ich czucia. Kiedy upadli na śnieg, ledwo zdali sobie sprawę z faktu, że przestali maszerować. Nie zauważali już różnicy pomiędzy życiem a śmiercią, istnieniem a przerwaniem bytu.

Kiedy wstało słońce i trochę ich ogrzało, ocknęli się i podnieśli głowy. Być może w ostatnim wysiłku, aby jeszcze raz zobaczyć świat, który opuszczali.

Zobaczyli zamek.

Stał pośród stepu. Był bardzo stary. Śnieg pobieliał mech porastający zwietrzałe kamienie. Wyglądało na to, że ten zamek stoi tu od początku świata, ale zarówno Elryk jak Moonglum nigdy nie słyszeli o samotnej fortecy wśród stepów.

Wprost trudno było sobie wyobrazić, by równie stary zamek mógł rzeczywiście istnieć na tych ziemiach, które niegdyś zwano Krańcem Świata.

Pierwszy wstał Moonglum. Doczołgał się po śniegu do Elryka i wziął go na rękę. Krew w żyłach Elryka prawie nie płynęła. Kiedy towarzysz podnosił go, albinos jęknął. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł otworzyć ust.

Wzajemnie się podpierając, raz idąc, raz czołgając się, zbliżyli się do zamku.

Brama była otwarta, kiedy przez nią wchodzili. Letnie powietrze wewnątrz przywróciło im przytomność na tyle, że wstali. Weszli do wąskiego korytarza, którym dotarli do obszernego hallu. Było tam pusto. Żadnych mebli, tylko kominek z granitu i kwarcu, w którym żarzyły się drwa. Poszli w jego kierunku.

— Więc ten zamek jest zamieszkały.

Głos Moonglum miał chrapliwy i niewyraźny. Spojrzał na ściany z bazaltu i, jak tylko mógł najgłośniejszym głosem, krzyknął:

— Pozdrawiamy pana tego ziemiach amku, kimkolwiek jest! Nazywamy się Moonglum z Elhweru i Elryk z Melniboné! Prosimy o gościnę, bowiem zgubiliśmy się na tych ziemiach!

Kolana ugięły się pod Elrykiem. Z głuchym odgłosem jego bezwładne ciało uderzyło o podłogę.

Głos Moongluma odbijał się jeszcze od ścian hallu, kiedy on sam schylał się nad przyjacielem. Znów zapanowała cisza. Słysząc było tylko trzask dREW w kominku. Elhweryjczyk zaciągnął Elryka w pobliże ognia i ułożył wygodnie.

— Ogrzej swoje kości. Pójdę poszukać właściciela tego miejsca.

Przeszedł przez hali i wbiegł po kamiennych schodach na piętro. Tam również nie było żadnych mebli czy dekoracji. Wiele pokoi, ale wszystkie puste. Zaczął czuć się nieswojo. Zgadywał, że mają z tym coś wspólnego nadprzyrodzone siły. Może właścicielem tego zamku był Theleb K'aarn?

Ktoś tu mieszkał, przecież ogień nie mógł się sam zapalić ani brama sama otworzyć. A jeśli stąd wyszedł, to chyba nie w zwyczajny sposób, bo nie było żadnych śladów na śniegu.

Moonglum wrócił na dół. Zauważył, że Elryk na tyle odzyskał siły, iż siedział oparty o ścianę przy kominku.

— Co znalazłeś? — spytał niewyraźnie Melnibonéanin.

Moonglum wzruszył ramionami.

— Nic. Ani służby, ani pana. Jeśli wyjechali na polowanie, to chyba na latających rumakach, bo nie ma śladu kopyt na śniegu. Muszę przyznać, że jestem trochę zdenerwowany. A poza tym głodny. Poszukam spiżarni. Jeśli grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, to lepiej będzie przyjąć je z pełnym brzuchem.

Znalazł wzmocnione okuciami drzwi. Nacisnął klamkę i otworzył je. Zobaczył korytarz, na końcu którego znajdowały się kolejne drzwi. Posuwał się z mieczem w dłoni. To wejście prowadziło do salonu równie pustego co reszta zamku. Dalej znalazł kuchnię. Zauważył, że wszystkie naczynia są czyste, choć od dawna nie używane. Dotarł do spiżarni.

Wisiała tam na haku połówka jelenia. Na półkach dostrzegł liczne bukłaki i dzbany z winem, poniżej leżał chleb i pasztety, a na samym dole stały przyprawy.

Najpierw stanął na palcach i chwycił dzban z winem. Wyjął korek, powąchał zawartość. W całym swoim życiu nie czuł nigdy równie delikatnego i rozkosznego zapachu. Wypił spory łyk i od razu zapomniał o zmęczeniu. Ale nie zapomniał o Elryku, który czekał na niego w hallu. Ciosem miecza ukroił wielki kawał mięsa i wziął go pod pachę. Później wybrał kilka przypraw, które włożył do sakwy. Pod drugie ramię wziął chleb, a w każdą rękę chwycił po dzbanie wina.

Wrócił do Elryka, położył swój łup i pomógł przyjacielowi napić się.

Alkohol o dziwnym zapachu wywarł wielkie wrażenie na Elryku. Melnibonéanin z wdzięcznością uśmiechnął się do Moongluma.

— Jesteś... dobrym przyjacielem... ale zastanawiam się dlaczego...

Moonglum obrócił się z pomrukiem zażenowania i zaczął przygotowywać mięso do pieczenia w kominku.

Właściwie nigdy nie potrafił zrozumieć przyjaźni, która łączyła go z albino-
sem. Była zawsze dziwną mieszanką afektu i rezerwy, delikatną równowagą, którą
obaj utrzymywali w każdej sytuacji.

Elryk, od czasu wielkiej miłości do Cymoril, która to miłość doprowadziła do
jej śmierci i do zniszczenia ukochanego miasta, zawsze bronił się przed okazywa-
niem spotykanym osobom najmniejszych oznak czułości.

Tak było z Sharillą z Tańczącej Mgły, która bardzo go kochała. Z królową
Yishaną z Jharkoru, która sprezentowała mu swoje miasto mimo nienawiści, ja-
ką mieszkańcy pałali do księcia-albinosa. Elryk odrzucał wszelkie towarzystwo,
oprócz Moongluma, a ten, gdy nie był razem z czerwonoookim księciem, szybko
zaczynał odczuwać śmiertelną nudę. Elhweryjczyk gotów był umrzeć za Elry-
ka i wiedział, że Pan Imrryru zdolny jest pokonać wszelkie przeszkody, aby po-
móc swojemu przyjacielowi. Czy ten związek nie był niezdrowy? Czy nie byłoby
lepiej, gdyby każdy poszedł w swoją stronę? Jednakże już ta myśl była nie do
zniesienia dla Moongluma. Wydawało się, że obydwaj tworzą jedną istotę, że są
dwoma osobami tego samego człowieka.

Mimo wszystko nie rozumiał nowego uczucia. Mówił sobie, że gdyby Mel-
nibonéanin zastanowił się kiedyś nad tym pytaniem, również nie znalazłby na to
odpowiedzi.

Kiedy rozmyślał i piekł mięso na ostrzu miecza jak na rożnie, Elryk nadal
w milczeniu popijał wino. Powoli powracał do sił, ale na jego skórze wciąż jeszcze
widniały ślady mrozu.

W ciszy zjedli mięso, bez przerwy rozglądając się po hallu. Intrygowała ich
nieobecność mieszkańców zamku, byli jednak tak wyczerpani, że nie przejmowali
się tym zbytnio.

Później dorzucili dREW do kominka i usnęli. Nad ranem wstali zupełnie wypo-
częci.

Zjedli trochę zimnego mięsa i pasztetu i popili to winem. Moonglum znalazł
jakiś kocioł, w którym podgrzali wodę, aby umyć się i ogolić.

— Byłem w stajni — powiedział Moonglum goląc się — ale nie ma tam koni,
choć wszystko świadczy o ich niedawnej obecności.

— Jest jeszcze jeden sposób na podróżowanie — zauważył Elryk. — W zam-
ku muszą być narty. W tym regionie śnieg leży przez pół roku, więc powinniśmy
je gdzieś znaleźć. Na nartach dotarlibyśmy do Josazu dużo szybciej. Mapa i kom-
pas też by się przydały.

Moonglum przytaknął.

— Pójdę sprawdzić na górze. — Skończył się golić i schował brzytwę.

— Idę z tobą — powiedział Elryk wstając.

Przemierzali puste pokoje nic nie znajdując.

— Zupełnie nic — powiedział Elryk marszcząc brwi. — A jednak jestem pe-
wien, że ten zamek jest zamieszkały. Mamy na to dowody.

Zbadali jeszcze dwa piętra. Nie było ani śladu kurzu.

— Niestety, będziemy musieli iść na piechotę — powiedział Moonglum zrezygnowanym głosem. — Chyba że znajdziemy drewno, z którego da się zrobić narty. Jeśli dobrze pamiętam, widziałem takie w stajni. . .

Doszli do wąskich schodów, które pięły się ku szczytowi najwyższej wieży.

— Jeszcze sprawdzimy tutaj — powiedział Elryk.

Schody zawiodły ich do przymkniętych drzwi. Elryk popchnął je i zawahał się.

— Co się stało? — zapytał idący za nim Moonglum.

— Ten pokój jest umeblowany.

Moonglum zajrzał, przez ramię przyjaciela, do środka.

— I jest tu ktoś!

Komnata była piękna. Blade światło przenikało do niej przez kryształowe okna i oświetlało różnobarwne jedwabne tkaniny, puszyste dywany i kilimy, o tak żywych kolorach, jakby zostały utkane wczoraj.

Pośrodku stało wielkie łóżko z baldachimem z białego jedwabiu. Leżała w nim młoda kobieta. Miała czarne włosy i ciemnoszkarłatną suknię, cerę jak lekko zaróżowiona kość słoniowa, piękną twarz i lekko rozchylone usta.

Była pogrążona we śnie. Elryk zrobił dwa kroki, po czym nagle zatrzymał się i wzdrygnął. Odwrócił się.

Zaalarmowany Moonglum zobaczył lzy w czerwonych oczach księcia.

— Co się stało, przyjacielu?

Blade wargi Elryka rozchyliły się, ale księżę nie mógł mówić. Jedyne coś w rodzaju skargi wydobyło się z jego ust.

— Elryku. . .

Moonglum położył rękę na ramieniu towarzysza, lecz Elryk odepchnął ją.

Potem, powoli znowu obrócił się ku łóżku, jakby zmuszał się do obejrzenia straszliwej wizji. Oddychał szybko, zeszywniał i dotknął dłonią rękojeści miecza.

— Moonglumie. . .

Walczył ze sobą, aby przemówić. Jego kompan spojrzał najpierw na kobietę, a później pytająco na albinosa. Czyżby ją rozpoznał?

— Moonglumie. . . to czarodziejski sen. . .

— Skąd wiesz?

— Jest. . . jest podobny do tego, w którym mój kuzyn Yyrkoon pogrążył Cymoril.

— O Bogowie! Myślisz więc, że. . . ?

— Nic nie myślę!

— Ale to nie jest. . .

— Nie, to nie jest Cymoril, wiem. Ja. . . ona jest taka podobna. Ale to nie ona.

Po prostu nie spodziewałem się tego.

Opuścił głowę i zniżył głos.

— Chodźmy stąd.

— Ale zamek musi należeć do niej. Jeśli ją obudzimy...

— Nie możemy jej obudzić. Powiedziałem ci... Jest w zaczarowanym śnie. Mimo całej mej władzy czarodziejskiej nie udało mi się wyrwać Cymoril ze snu. Nie można nic zrobić, jeśli nie zna się odpowiednich zaklęć ani środków. Musimy stąd szybko odejść.

Elryk mówił takim głębokim głosem, że ciarki przebiegły Moonglumowi po plecach.

— Ale...

— W takim razie sam odejdę!

Prawie biegnąc, Elryk opuścił komnatę. Moonglum zbliżył się do łoża i spojrział na młodą kobietę. Dotknął jej skóry; była ona dziwnie zimna. Wzruszył ramionami i miał zamiar opuścić pokój. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, aby obejrzeć tarcze i starą broń zawieszoną na ścianie. Pomyślał, że to dziwne trofea jak na wystrój pokoju młodej kobiety. Potem zauważył przy ścianie stolik z rzeźbionego drewna. Coś na nim leżało. Moonglum cofnął się. Nie wiedział, co myśleć, gdy zobaczył mapę. Zamek był dokładnie zaznaczony, tak jak i rzeka Zaphra-Trepek. Na mapie leżał oprawiony w srebro kompas, z przyczepionym łańcuszkiem.

Moonglum złapał mapę i kompas, po czym wybiegł z pokoju.

— Elryku!

Elryk odwrócił się. Miał kamienną twarz, gdy Moonglum pokazał mu mapę i kompas.

— Jesteśmy uratowani!

Melnibonéanin rozejrzył się po ośnieżonej pustce.

— Tak, uratowani.

Rozdział 5

KSIĄŻĘ I PRZEZNACZENIE

Dwa dni później dotarli do brzegu Zaphra-Trepek. W oddali zobaczyli drewniane wieże i ładne domki pokryte drewnianymi dachami należące do kupieckiego miasta Alorasaz.

Traperzy i górnicy przybywali do Alorasaz podobnie jak kupcy z Josazu w głębi łądu i z Trepesaz na wybrzeżu. Było to żywe i radosne miasto, z oświetlonymi i ogrzewanymi za pomocą wielkich węgielnych kotłów ulicami. Mieszkańcy pilnowali, aby zimą nigdy nie gasły. Odziani w ubrania z grubej wełny pozdrawiali przyjacielsko wchodzących do miasta Elryka i Moongluma.

Mimo zapasów mięsa i wina, jakie przezorny Moonglum zabrał z zamku, dwaj kompani odczuwali trudy długiego marszu przez step. Torowali sobie drogę w ruchliwym tłumie — kobiety o rumianych twarzach śmiały się głośno, mężczyźni odziani w skóry i futra pili piwo. Towarzysze dotarli na targ pełen kupców, przybyłych z bardziej cywilizowanych miast.

Elryk chciał dowiedzieć się kilku rzeczy, a orientował się, że informacje uzyska jedynie w karczmie. Czekał spokojnie, podczas gdy Moonglum poszedł pytać, która oberża jest najlepsza.

Mieli tylko kilka ulic do przejścia, aby odnaleźć karczmę, w której kupcy tłocząc się na ławach wokół stołów wyciągali skóry, aby zachwalać ich wartość. Wszystko to pośród wesołej wrzawy.

Moonglum opuścił Elryka i wdał się w rozmowę z oberżystą, grubym człowiekiem o okrągłej twarzy. Albinos widział, jak ten pochylał się słuchając z uwagą słów Moongluma. Jego przyjaciel przytaknął i podniósł rękę dając znać Elrykowi, by dołączył do nich. Tak też zrobił i o mało co nie został wyrócony przez jakiegoś żywo gestykulującego kupca. Tamten zaczął go od razu gorąco przeproszać i zaproponował mu kubek wina.

— Nie, naprawdę nie trzeba — mruknął książę.

Mężczyzna wstał.

— Ależ, mój panie, to moja wina. . .

Później zobaczył twarz albinosa i zamilkł. Usiadł pomrukując niezrozumiale i powiedział coś do swojego sąsiada przy stole.

Elryk ruszył za oberżystą i Moonglumem. Przyjaciele weszli po chybottliwych schodach do pokoju, który według właściciela był jedynym wolnym.

— Podczas zimowych targów pokoje są bardzo drogie — powiedział przeproszającym tonem.

Podczas gdy Moonglum spoglądał na niego spode łba, Elryk podał oberżystę wartą małą fortunę rubin. Karczmarz obejrzał dokładnie kamień i wybuchnął śmiechem.

— Dzięki ci, panie. Ta oberża rozpadnie się w pył, zanim twój kredyt zostanie wyczerpany. Dobry handel musi być w tym roku! Natychmiast każe przynieść wam mięso i wino!

— Najlepsze jakie masz! — powiedział Moonglum starając pocieszyć się po utracie rubinu.

— Chciałbym je jeszcze mieć! — odparł oberżysta.

Elryk usiadł na łóżku, zdjął pelerynę i rozpiął pas. Nadal było mu zimno.

— Wolałbym, abyś powierzył mi swoje klejnoty — powiedział Moonglum ściągając buty. — Możemy ich jeszcze potrzebować przed końcem poszukiwań.

Wyglądało jednak na to, że albinos nie usłyszał go.

Kiedy zjedli posiłek, dowiedzieli się od oberżysty, że za dwa dni statek wypływa do Josazu. Wkrótce potem położyli się spać.

Elryk miał burzliwe sny. Tej nocy duchy, które wdarły się do jego umysłu, były liczniejsze niż zwykle. Widział Cymoril, która krzyczała, kiedy Czarny Miecz pił jej duszę. Widział płonącego Imrryr, swojego kuzyna Yyrkoona rozpartego na tronie i jeszcze inne rzeczy, które mogłyby należeć do jego przeszłości.

Nie był stworzony na władcę okrutnego ludu Melniboné, więc błąkał się pomiędzy ludźmi tylko po to, żeby odkryć, że tutaj też nie ma dla niego miejsca. W międzyczasie Yyrkoon uzurpował sobie jego władzę i starał się posiąść Cymoril, a gdy odmówiła, pograżył ją w głębokim, magicznym śnie, z którego tylko on sam umiałby ją wyrwać.

Teraz Elryk śnił, że znalazł Nanorion, mityczny kamień mogący wskrzeszać nawet zmarłych. Śnił, że Cymoril jeszcze żyje, a on kładzie Nanorion na jej ciele. Ona budzi się, obejmuje go i razem opuszczają Imrryr. Lecą na Płomiennym Kle, wielkim smoku bojowym Melniboné, aż do cichego zamku ukrytego wśród śniegów.

Elryk nagle obudził się w środku nocy. W karczmie było już cicho. Otworzył oczy i zobaczył, że Moonglum śpi głęboko na sąsiednim łóżku.

Starał się na nowo zasnąć, ale bezskutecznie. Był pewien, że czuje czyjąś obecność w pokoju. Wyciągnął rękę i chwycił Zwiastuna Burzy. Czekał gotowy do odparcia ewentualnego napadu. Być może złodzieje dowiedzieli się o jego hojności względem oberżysty?

Coś poruszyło się w cieniu, więc znów otworzył oczy.

Była tam. Długie włosy spływały jej po ramionach. Miała na sobie tę samą szkarłatną suknię. Patrzyła na niego spokojnie, uśmiechając się ironicznie. Była to ta kobieta, którą widział w zamku. Ta, która spała. Czy teraz znowu śnił.

— Przebacz mi, Panie, że wdarłam się w ten sposób w twoje życie i że przerwałam ci odpoczynek, ale mam pilną sprawę i mało czasu.

Elryk zauważył, że Moonglum dalej śpi, jakby był pod wpływem narkotyku. Usiadł na łożu.

— Wydaje mi się, że znam cię, Pani, ale nie wiem. . .

— Nazywają mnie Myshella.

— Cesarzowa Świtu?

Znowu się uśmiechnęła.

— Niektórzy tak mnie nazywają. Inni wolą określenie Ciemna Dama z Kane-
loon.

— Tak, ta, którą kochał Aubec? Musiałaś się bardzo trudzić, aby utrzymać swój wygląd, Pani.

— Nic nie robiłam. Być może jestem nieśmiertelna. Nie wiem. Wiem za to jedno: Czas jest oszustem.

— Dlaczego tu przybyłaś?

— Nie mogę tu długo zostać. Przyszłam prosić cię o pomoc.

— To znaczy?

— Wydaje mi się, że mamy wspólnego wroga.

— Theleb K'aarna?

— Właśnie.

— Czy to on rzucił na ciebie urok i pogrążył we śnie?

— Tak.

— I on wysłał Oonai przeciw mnie. Dlatego. . .

Myshella podniosła rękę.

— To ja wysłałam chimery, aby was przyprowadziły. Nie miały wam zrobić krzywdy. To była jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić, bo zakłęcie Theleb K'aarna znów zaczynało działać. Walczyłam przeciw jego czarom, ale one są potężne. Mogę się budzić tylko na krótkie chwile. Czarownik dogadał się z Księciem Umbdą, wodzem Hordy z Kelmain. Mają zamiar zdobyć Lormyr, a później całe południe świata.

— Kim jest Umbda? Nigdy nie słyszałem o nim ani o Hordzie z Kelmain. Może to jakiś szlachcic z Josazu, który. . .

— Książę Umbda służy Chaosowi. Pochodzi z terenów położonych za Krańcem Świata, a Kelmainowie nie mają nic wspólnego z ludźmi, pomimo że wyglądają podobnie.

— Więc Theleb K'aarn był daleko na południu.

— Z tego właśnie powodu przybyłam dziś do ciebie.

— Chcesz, żebym ci pomógł?

— Zarówno ty jak i ja potrzebujemy śmierci Theleb K'aaraa. Jego magia pozwoliła Umbdzie przekroczyć Kraniec Świata. Jest jeszcze silniejszy, bo wódz z Kelmain zaferował braterstwo Chaosowi. Bronię Lormyru i służę Prawu. Wiem, iż jesteś sługą Chaosu, ale mam nadzieję, że nienawiść, jaką czujesz do Theleb K'aarna, jest większa od twojej lojalności wobec bogów.

— Ostatnio Chaos nie pomógł mi, Pani, więc mogę zapomnieć o tejże lojalności. Zemszczę się na Theleb K'aarnie, a jeśli w tej sprawie będziemy mogli być sobie pomocni, to tym lepiej dla nas.

— Dobrze.

Nagle krzyknęła, a jej oczy zmętniały. Z wysiłkiem wypowiadała słowa.

— Znowu zapadam w sen. Wierchowiec czeka na ciebie koło bramy miasta. Zawiezie cię na jedną z wysp Morza Wrzącego. Tam znajdziesz pałac Ashaneloon. Jeszcze do niedawna mieszkałam tam, dopóki nie zauważyłam grożącego Lormyrowi niebezpieczeństwa...

Zachwiała się.

— ...ale Theleb K'aarn domyślił się, że będę chciała tam wrócić, więc umieścił strażnika przy drzwiach do pałacu. Trzeba go zniszczyć. Kiedy to zrobisz, udaj się...

Elryk wstał, aby ją podtrzymać, ale odepchnęła go dłonią.

— ...do wschodniej wieży. Na dole jest kufer. W nim znajdziesz sakwę ze złotej tkaniny. Przynieś ją do Kaneloon. Umbda i jego Kelmainowie maszerują już na zamek. Dzięki sakwie będę mogła się bronić. Oczywiście jeśli się w porę obudzę, w przeciwnym razie całe południe jest skazane... ty także.

— A co z Moonglumem? — spytał albinos spoglądając na śpiącego kompana. — Czy może iść ze mną?

— Lepiej nie. Poza tym jest pod wpływem lekkiego zaklęcia, nie mamy czasu go budzić.

Jeszcze raz zachwiała się jęcząc.

— Nie ma czasu...

Elryk jednym skokiem podniósł się, włożył buty, chwycił pelerynę i runiczny miecz. Kiedy zaferował swoją pomoc Myshelti, znowu go odepchnęła.

— Nie... Idź, proszę cię...

I zniknęła.

Jeszcze na wpół otumaniony, wybiegł na ulicę. Pognął do północnej bramy Alorosaz. Szedł przez śnieg rozglądając się dookoła. Wkrótce śnieg sięgał mu już do kolan. Nic nie zauważywszy miał zamiar wrócić po własnych śladach, kiedy ze zdziwienia aż krzyknął. Zobaczył rumaka obiecanego przez Myshellę.

— Co to?! Następna chimera? Ostrożnie zbliżył się do stworzenia.

Rozdział 6

ZŁOTY PTAK

Był to ptak, ale nie z krwi i kości, tylko ze srebra i złota. Kiedy Elryk zbliżył się do niego, stworzenie załopotało skrzydłami, a pazurami niecierpliwie rozdrapało zmrożoną ziemię. Lodowaty wzrok szmaragdowych oczu skierował się na Memiboneanina. Ptak miał na sobie rzeźbione w onyksie i inkrustowane złotem i miedzią siodło.

Zaczęła bez stawiania pytań; pomyślał Elryk; mogę więc skończyć w ten sam sposób.

Zbliżył się do boku ptaka i usiadł ostrożnie w siodle. Wtedy srebrno-złote skrzydła rozpostarły się z hałasem stu dzwonów, a po trzech ruchach metalowy ptak i jego jeździec byli już wysoko ponad Alorosaz. Błyszcząca głowa obróciła się, a stalowy, zdobiony diamentami dziób otworzył się i wierzchowiec przemówił.

— Panie, mam rozkaz dowieźć cię do Ashaneloon.

— Jak chcesz. Jestem na łasce twojej pani Myshellii.

Kiedy skrzydła ptaka mocniej uderzyły, jeździec odrzuciło na tył siodła. Stworzenie nabierało szybkości pośród mroźnej nocy i leciało wysoko nad równinami, górami, rzekami, aż ukazał się brzeg i Elryk rozpoznał morze zachodnie zwane Wrzącym.

Ptak pograżył się w całkowitych ciemnościach, a Elryk poczuł, że jest mu coraz cieplej. Z dołu dobiegał odgłos wrzenia. Mówiono o tym morzu, że ma dno usiane wulkanami. Jedno wszakże było pewne: nigdy nie pływał po nim żaden statek.

Lecieli teraz w chmurach z pary. Upał był prawie nie do zniesienia. Tymczasem albinos zaczął dostrzegać kontury skalistej wysepki, na której znajdowała się tylko jedna budowla, zamek złożony z wież, wieżyczek i baszt.

— Pałac Ashaneloon — powiedział ptak. — Wyląduję na murze, mój Panie. Lękam się tej rzeczy, z którą masz się zmierzyć, więc zaczekam gdzie indziej. Potem, jeśli będziesz jeszcze żył, wróć, aby zabrać się do Kaneloon. Jeśli zginiesz,

doniosę mojej Pani o twojej klęsce.

Z hałasem ptak wylądował na murze. Elryk pomyślał, że stracił przewagę zaskoczenia względem przeciwnika, którego tak bał się ptak. Zsiadł powoli z niezwykłego rumaka. Ptak pośpiesznie odleciał.

Elryk został sam. Pałac pogrążony był w ciszy. Zza muru dobiegał tylko hałas wrzenia i łamania się na plaży ciepłych fal.

Albinos zobaczył wschodnią wieżę i skierował się ku jej drzwiom. *Być może uda mi się znaleźć to, czego szukam, pomyślał, nie spotykając przy tym strażnika.*

Nagle straszliwy ryk rozległ się tuż za nim. Odwrócił się pewien, że to właśnie ów strażnik, i zobaczył obrzydliwe stworzenie o złośliwych oczach.

— Więc to ty jesteś niewolnikiem Theleb K'aarna — powiedział Elryk.

Wyciągnął rękę w kierunku Zwiastuna Burzy, a miecz runiczny z własnej woli ułożył się w jego dłoni.

— Znikniesz stąd — spytał albinos — czy też mam cię zabić?

Potwór znowu ryknął, ale nie poruszył się.

— Jestem Elryk z Melniboné — rzekł książę — ostatni z dynastii wielkich królów-czarowników. Ten miecz zrobi coś więcej, nie tylko cię zabije, mój przyjacielu-demonie. Wypije twoją duszę, a ja się nią pożywię. Być może słyszałeś o mnie pod moimi innymi imionami? Na przykład Złodziej Dusz?

Demon biczował powietrze swoim zębataym ogonem, a jego bycze nozdrza rozdęły się. Rogaty łeb kręcił się na krótkiej szyi, w cieniu błyskały kły. W końcu wysunął do przodu pazury i ruszył na Księcia Ruin.

Elryk chwycił swój miecz, rozstawił stopy i przygotował się na atak potwora. Cuchnący oddech uderzył go prosto w twarz, usłyszał kolejny ryk i potwór skoczył na niego. Zwiastun Burzy zawył, zaślnił czarną łuną. W chwili, gdy stworzenie z piekła uderzyło Elryka, pazurami rozdzierając mu koszulę, błysnęły wygrawerowane znaki runiczne.

Miecz spadł. Demon warknął, gdy ostrze ześlizgnęło się po łuskowatym ramieniu nie czyniąc mu krzywdy. Przeskoczył z łapy na łapę i znowu zaatakował. Albinos uchylił się. Niestety jego ramię zostało teraz rozdarte od łokcia aż po nadgarstek.

Zwiastun Burzy uderzył znowu. Demon krzyknął trafiony w pysk, a pazury szarpnęły ciało księcia. Krew popłynęła albinosowi po piersi.

Elryk zachwiał się, ale w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Bronił się, jak umiał najlepiej. Pazury jeszcze raz przecięły powietrze, ale miecz odepchnął je.

Książę ciężko dyszał. Jego twarz lśniła potem. Na chwilę dał się ponieść rozpaczy, ale szybko jego wzrok stał się palący, a usta wykrzywił uśmiech.

— Wiedz, że jestem Elryk! — krzyknął.

Potwór zaatakował.

— Jestem Elryk, bardziej demon niż człowiek! Precz stąd, bestio!

Demon natarł nań, ale tym razem albinos nie cofnął się. Z twarzą wykrzywioną wściekłością uderzył w odsłonięte gardło przeciwnika. Czarny miecz zagłębił się w cuchnących czeluściach piersi potwora. Siły vitalne przeszły z miecza w Elryka, który z dzikim krzykiem przyjmował wpływającą do niego siłę. Uwolnił ostrze i zaczął raz po razie ciąć demona, a po każdym ciosie nowy przyływ energii dodawał mu mocy. Z jękiem potwór upadł na ziemię. Był martwy.

Demon o bladej twarzy pozostał sam nad martwą istotą przybyłą z piekła. Rubinowe, płomienne oczy spoglądały z triumfem na pokonanego. Otworzył usta i dziko się zaśmiał. Podniósł ramię i runiczny miecz zawył zwycięsko na cześć Panów Chaosu.

Nagle powróciła cisza. Książę schylił głowę i zapłakał.

Elryk otworzył drzwi wschodniej wieży i błądził w całkowitej ciemności, aż do chwili gdy dotarł do właściwego pokoju. Drzwi były zamknięte, ale Zwiastun Burzy rozbił je i Ostatni Cesarz Melniboné wszedł do oświetlonego pokoju, w którym znajdował się żelazny kufer.

Przeciął mieczem kłódkę i otworzył wieko. W skrzyni leżało wiele wartościowych rzeczy, ale on wziął tylko złotą sakwę. Wsunął ją za pas i wrócił na zewnątrz, tam gdzie czekał na niego srebrno-złoty ptak. Wierzchowiec wytrwale dziobał resztki sługi Theleb K'aarna.

Rumak zobaczył Elryka. Spojrzenie jego szmaragdowych oczu było prawie radosne.

— A teraz, Panie, musimy czym prędzej polecieć do Kaneloon.

Mdłości ogarnęły albinosa. Spojrzał na trupa i zastanowił się, co dał mu demon. Ta siła vitalna mogła być tylko esencją zła. Czy kiedy miecz wypił duszę potwora, on sam też wypił trochę z tego zła?

Miał już zamiar usiąść w siodle z onyksu, kiedy zobaczył, że coś się rusza w czarno-żółtych wnętrznościach demona. Było to serce. Nieregularny niebiesko-fioletowy kamień. Jeszcze biło, mimo śmierci ciała.

Książę schylił się i podniósł je. Było wilgotne i tak gorące, że o mało co nie oparzył sobie ręki. Przed wejściem na grzbiet ptaka schował kamień do torby.

Kiedy magiczny rumak wiózł go z powrotem nad Wrzącym Morzem, różne dziwne uczucia malowały się na trupiobladej twarzy albinosa. Długie, śnieżnobiałe włosy powiewały za nim na wietrze. Zapomniał o ranach zadanych mu przez demona, rozmyślał o różnych rzeczach. Jego umysł cofał się i wybiegał w przyszłość. Dwa razy gorzko zaśmiał się, łzy popłynęły mu z oczu. W końcu książę stwierdził.

— Życie jest jednym wielkim cierpieniem!

O świcie zbliżyli się do Kaneloon, a Elryk zauważył w oddali olbrzymią armię — ciemną plamę na śniegu. Wiedział, że to może być tylko Horda z Kelmain, prowadzona przez Theleb K'aarna i Księcia Umbdę na samotny zamek. Srebrno-złoty ptak wylądował koło wejścia i albinos zeskoczył z siodła. Wierzchowiec

wzbił się ku niebu i zniknął.

Rozdział 7

HORDA Z KELMAIN

Wielkie wrota Kaneloon były zamknięte. Elryk owijając się w swoją podartą pelerynę, aby okryć gołą pierś, zaczął walić w nie pięściami. Z całych sił krzyknął:

— Myshella! Myshella!

Nie było odpowiedzi.

— Myshella! Wracam z tym, o co mnie prosiłaś!

Bał się, że znowu zapadła w sen. Spojrzał na południe i zobaczył, że czarna fala jeszcze bardziej zbliżyła się do zamku. Nagle usłyszał hałas zdejmowanych sztab i ze skrzypieniem wrota uchyliły się. Elryk ujrzał nie mniej zdziwionego niż on sam — Moongluma.

— Jak się tu znalazłeś, Moonglumie?

— Nie wiem, Elryku.

Moonglum odsunął się, aby wpuścić przyjaciela, po czym starannie zarygłował bramę.

— Byłem w swoim łóżku, kiedy ukazała mi się ta kobieta, którą tu widzieliśmy. Kazała mi pójść za sobą, co też zrobiłem, ale zupełnie nie wiem jak.

— Gdzie ona jest?!

— Tam gdzie ją odkryliśmy. Śpi i nie zdołałem jej obudzić.

Elryk głęboko zaczerpnął powietrza, potem powtórzył to, co wiedział o Myshelli i tych, którzy maszerowali na zamek.

— Czy wiesz, co jest w tej sakwie? — zapytał Moonglum.

Albinos zaprzeczył i otworzył ją.

— Tylko jakiś różowy pył, ale jego magiczna moc musi być wielka, skoro Myshella ma nadzieję za jego pomocą pokonać Hordę z Kelmain.

Moonglum zmarszczył brwi.

— Ale skoro Myshella jest jedyną, która wie, co to jest, to ona musi tego użyć!

— Tak.

— Przecież Theleb K'aarn pograżył ją we śnie.

— Tak.

— A teraz już jest za późno, bo Umbda, kimkolwiek jest, zbliża się do zaniku.
— Tak.
Ręka Elryka drżała, gdy wyjmował zza pasa to, co znalazł przed opuszczeniem Ashanellon w resztkach demona.
— Chyba że to jest to, o czym myślę.
— Czyli?
— Znam pewną legendę. Niektóre demony mają takie kamienie zamiast serc. Podniósł go ku światłu, aby obejrzeć niebiesko-fioletowy odblask.
— Nigdy jeszcze tego nie widziałem, ale wydaje mi się, że jest to rzecz, której poszukiwałem, kiedy mój kuzyn rzucił zaklęcie na Cymoril. Szukałem wtedy, ale bezskutecznie. To Nanorion, kamień o magicznej mocy. Może przywrócić życie nawet dawno umarłym.
— I to obudzi Myshellę?
— Jeśli coś może tego dokonać, to tylko to, co zabrałem demonowi Theleb K'aarna, bowiem kamienne serce wzmacnia skuteczność magii. Chodź.
Elryk przeszedł przez hali i wszedł na schody. Gdy wkroczyli do pokoju, Myshella leżała tak, jak ją zostawili.
— Teraz rozumiem, dlaczego broń dekoruje ten pokój — powiedział Moonglum wskazując tarcze i miecze wiszące na ścianie. — Według legend należy ona do tych, którzy kochali Myshellę i stali się obrońcami jej sprawy.
Elryk przytaknął i powiedział jakby do siebie:
— Jeśli kiedykolwiek Melniboné miało prawdziwego wroga, była nim tylko Cesarzowa Świtu.
Położył pulsujący kamień na czole Myshelli.
— Nic z tego — powiedział po chwili Moonglum. — Nie rusza się.
— Istnieje jakieś zaklęcie, ale zapomniałem... — Ścisnął dłońmi skronie. — Zapomniałem je.
Moonglum podszedł do okna.
— Może zapytamy się Theleb K'aarna? Już niedługo tu przybędzie.
Zobaczył lzy w oczach towarzysza. Elryk odwrócił się, aby je ukryć. Moonglum zakasłał.
Opuścił pokój zamykając za sobą drzwi. Elryk pozostał sam na sam z kobietą, która coraz bardziej przypominała ducha z najstraszliwszych snów. Starał się opłacać gorączkę, która ogarniała jego myśli i przypomnieć sobie słowa zaklęcia.
— Bogowie! — jęknął. — Pomóżcie mi!
Ale dobrze wiedział, że w tej sytuacji Władcy Chaosu nie mogą mu pomóc. A nawet gdyby mogli, to i tak raczej by mu zaszkadzili. Myshella była jednym z głównych obrońców Prawa na Ziemi i dzięki niej świat wyrwał Chaosowi wielkie obszary.
Elryk padł na kolana koło łoża Cesarzowej Świtu i splótł ręce. Nagle przypomniał sobie słowa i gest. Prawą rękę wyciągnął ku kamieniowi, a lewą położył

na pępku Myshelli. Zaczął śpiewać w starożytnym języku, którym mówiono na długo przedtem, zanim prawdziwi ludzie pojawili się na Ziemi.

— Elryk!

Moonglum wpadł do pokoju, w którym stał pogrążony w transie albinos.

— Elryku! Kawaleria posuwa się...

— Co?

— Dziesięciu weszło do zamku. Zabarykadowałem wejście do wieży, lecz zaraz przebijają się przez nie. Myślę, że zostali wysłani, aby zabić Myshellę, ale zaskoczyła ich moja obecność.

Elryk wstał i przyjrzał się uważnie Myshelli. Kończył już drugi raz mówić zakłęcie, kiedy wbiegł Moonglum. Kobieta nadal nie poruszała się.

— Theleb K'aarn rzucił swój urok z daleka — powiedział Moonglum. — Był pewien, że Myshella mu się nie oprze. Nie wiedział, iż będzie miał z nami do czynienia.

Zbiegli po schodach. Drzwi na dole zaczęły pękać pod ciosami mieczy napastników.

— Cofnij się, Moonglumie!

Albinos wyjął swój runiczny miecz, zakręcił nim nad głową i uderzył w drzwi. Rozbił drewno i przy okazji uciął dwie głowy o dziwnych kształtach. Reszta atakujących cofnęła się przed księciem-demonem o bladej twarzy, którego gigantyczny miecz pił dusze z dziwnym, melodyjnym wyciem. Napastnicy uciekli z okrzykami zaskoczenia i przerażenia.

Elryk ścigał ich aż do podnóża schodów, do hallu, gdzie przegrupowali się w nadziei pokonania tego demonicznego stworzenia, którego miecz został wykuty w piekle.

Księżę zaczął się śmiać. Przeciwnicy zadrżeli.

— Więc to wy jesteście potężnymi Kelmainami. Nic dziwnego, że potrzebujecie pomocy magii, skoro jesteście takimi tchórzami. Czy nigdy nie słyszeliście o Elryku, Mordercy Swojej Rasy?

Było jasne, że Kelmainowie nie rozumieli jego słów. Dziwne, bo używał znanej wszystkim mieszkańcom Ziemi Wspólnej Mowy.

Te istoty miały złocistą skórę i prawie kwadratowe oczodoły, twarze podobne do rzeźb z kamienia — całe kanciaste. Nawet zbroje, które nosili, nie były zaokrąglone, lecz jakby ciosane, tak jak ich oblicza.

Elryk pokazał zęby w dzikim uśmiechu, a Kelmainowie zbliżyli się bardziej do siebie. Gdy wrzasnął, Moonglum odwrócił się nie chcąc oglądać tego, co nastąpi. Miecz runiczny tańczył, a głowy i części ciał latały w powietrzu. Lała się krew — ostrze piło dusze. Ostatni wyraz na twarzach martwych Kelmainów oznaczał, że zanim ulotniło się z nich życie, zrozumieli swój okrutny los. Zwiastun Burzy ciągle pożerał dusze, bo piekielny miecz zawsze był nienasycony.

Elryk poczuł w swoich żyłach energię jeszcze większą niż wtedy, gdy zabił demona Theleb K'aarna. Hali trząsał się od echa jego diabelskiej radości. Albinos odpychając trupy zbliżał się do drzwi, za którymi stała wielka armia.

Krzyknął jedno imię:

— Theleb K'aarn!

Moonglum ruszył za nim, starając się powstrzymać przyjaciela, ale Elryk nie słyszał go. Szedł po śniegu, a miecz zostawiał za nim czerwony ślad.

Pod zimnym słońcem Horda z Kelmain zbliżyła się do zamku zwanego Kaneloon, a Elryk wyszedł im naprzeciw.

Na czele, na czarnych ogierach siedzieli czarownik z Pan Tang — ciemnolicy mężczyzna, ubrany w powiewający na wietrze płaszcz — oraz Władca Hordy z Kelmain, Umbda, we wspianiałej, ozdobionej pióropuszcami zbroi i z triumfującym uśmiechem na ustach.

Za nimi stały potężne maszyny wojenne o dziwnych kształtach. Na pewno były o wiele lepsze od tych, które mógł im przeciwstawić Lormyr.

Theleb K'aarn, kiedy tylko zobaczył samotną postać, która opuściła zamek Kaneloon i wyszła im naprzeciw, podniósł rękę, aby zatrzymać armię. Czarownik zaśmiał się.

— Na Bogów Chaosu! Przecież to ten szakal z Melniboné! Uznał nareszcie swojego pana i przyszedł oddać się w moje ręce!

Kiedy albinos zbliżył się, Theleb K'aarn znowu roześmiał się i zawołał:

— Tędy, Elryku, chodź uklęknąć przede mną!

Ale Melnibonéanin nie usłyszał tych słów i nie zwolnił.

Książę Umbda wyglądał na zdziwionego i powiedział coś w obcym języku. Theleb K'aarn odpowiedział mu protekcyjnym tonem.

Tymczasem Elryk był coraz bliżej wielkiej armii.

— Na Vhardrosa, zatrzymaj się! — krzyknął czarownik, którego koń nerwowo zarżał. — Jeśli przyszedłeś pertraktować, to jesteś głupcem. Kaneloon i jego pani znikną, zanim Lormyr wpadnie w moje ręce. Lormyr nie oprze się nam, bądź tego pewien!

Albinos zatrzymał się i gdy spojrzał czarownikowi prosto w oczy, zimny uśmiech ukazał się na jego bladych wargach. Theleb K'aarn nie mógł wytrzymać tego wzroku. Kiedy zaczął na nowo mówić, jego głos drżał.

— Nie możesz pokonać całej Hordy!

— Nie mam takiego zamiaru. Obchodzi mnie tylko twoja głowa!

Wściekłość zmieniła rysy Theleb K'aarna.

— Więc jej nie dostaniesz! Ludzie z Kelmain, na niego!

Ruszył na swoim rumaku pomiędzy szeregi wojowników, wydając im rozkazy w dziwnym języku.

Jakaś postać wybiegła z zamku i ruszyła ku Elrykowi. Był to Moonglum z Elhwern z mieczami w obu dłoniach. Albinos obrócił się.

— Elryku, umrzemy razem!

— Cofnij się!

Jego towarzysz zawahał się.

— Cofnij się — powtórzył Elryk — jeśli mnie kochasz!

Moonglum wrócił do zamku.

Jeźdźcy z Kelmain ruszyli podnosząc swoje proste miecze o szerokich ostrzach. Błyskawicznie otoczyli księcia-albinosa. Mieli nadzieję, że podda się i pozwoli złapać, ale Elryk uśmiechnął się tylko do nich.

Zwiastun Burzy zaczął śpiewać. Elryk trzymał go oburącz przed sobą. Nagle zaczął nim kręcić jak tarkeshicki tancerz. Coraz szybciej i szybciej, tak jakby miecz ciągnął go za sobą, krojąc, tnąc i rozcinając jeźdźców z Kelmain.

Po chwili napastnicy cofnęli się, porzucając leżących wokół albinosa swych martwych towarzyszy. Potem Księżę Umbda, po krótkiej naradzie z Theleb K'aarnem, kazał im powtórnie zaatakować.

Elryk jeszcze raz zakręcił swoim mieczem, ale tym razem nie zabił już tylu wrogów. Ciała w zbrojach spadały jedno na drugie, ich krew mieszała się, a konie ciągnęły po czerwonym śniegu uwieszone u strzemion trupy.

Melnibonéanin jeszcze nie upadł, ale coś się z nim działo. Kiedy wstał dzień, zdał sobie sprawę, że z niewytłumaczalnych powodów miecz runiczny jest syty.

Albinos nadal był pijany rzezią, a miecz dalej wibrował, ale nic już nie przepływało do jego żył. Potęga Elryka umniejszała się.

— Bądź przeklęty, Zwiastunie Burzy! Daj mi swoją siłę!

Miecze ciągle spadały na niego, nadal parował te ciosy, uderzał i ciął.

— Daj mi swoją siłę!

Jego siła była oczywiście nadal o wiele większa i nieporównywalna z mocą zwykłego śmiertelnika, lecz furia opuszczała go i kiedy zbliżyli się nowi wojownicy, poczuł niepokój. Budził się ze swojego krwawego snu. Potrząsnął głową, wziął kilka głębokich oddechów. Bolały go plecy.

— Czarny Mieczu! Daj mi swoją siłę!

Uderzał w twarz, ramiona, piersi, nogi, aż cały pokryty został krwią napastników.

— Co z tobą, mieczu? Nie chcesz mi pomóc? Nie chcesz walczyć z tymi stworami, bo pochodzą z Chaosu tak jak i ty?

Nie, to nie mogło być powodem. Po prostu miecz miał dosyć sił witalnych i nie przekazywał już ich Elrykowi.

Walczył jeszcze przez godzinę, zanim jakiś jeździec na wpół oszalały z przerażenia nie uderzył go w głowę. Cios nie roztrzaskał mu czaszki, tylko ogłuszył go na tyle, że upadł pomiędzy pocięte ciała. Chciał się podnieść, ale uderzony po raz drugi, stracił przytomność.

Rozdział 8

ŚMIECH CZAROWNIKA

Jest lepiej niż przewidywałem — mruknął zadowolony Theleb K'aarn. — Wzięliśmy go żywcem.

Elryk otworzył oczy i spojrzał z nienawiścią na czarownika, który gładził się po czarnej brodzie. Niewiele pamiętał z wydarzeń, które przywiodły go tutaj, zdanego na łaskę przeciwnika z Pan Tang. Przypomniawszy sobie strumienie krwi, śmiechy, śmierć, ale wszystko to było raczej podobne do snu niż do jawy.

— Co za niebywała furia, renegacie. Myślałem, że jest z tobą cała armia. Ale bez wątpienia strach pomieszał ci zmysły, biedaku. Nie będę tracił czasu na wyjaśnianie przyczyny tego zbiegu okoliczności. Mogę zawrzeć pakt z Panami z innych wymiarów, jeśli dam im twoją duszę. Ciało zachowam dla siebie, aby pokazać Królowej Yishanie, co zrobiłem z jej kochankiem.

Elryk zaśmiał się ignorując Theleb K'aarna.

Kelmainowie czekali na rozkazy. Jeszcze nie zajęli Kaneloon. Słońce świeciło teraz nisko nad horyzontem. Elryk widział stos trupów wokół siebie. W złotych twarzach Kelmainów zobaczył nienawiść i strach. Uśmiechnął się jeszcze raz.

— Nie kochani Yishany — powiedział wreszcie spokojnie. Tak jakby było mu wszystko jedno, czy jest z nim Theleb K'aarn. — Twoja zazdrość sprawia, że tak myślisz. Aby odnaleźć cię, opuściłem Yishanę. Nigdy miłość nie kierowała krokami Elryka z Melniboné, czarownika. Tylko nienawiść.

— Nie wierzę ci — odparł Theleb K'aarn. — Kiedy całe południe będzie należeć do mnie, no i do moich towarzyszy, zdobędę Yishanę i uczynię ją Królową Całego Zachodu i Południa. Wspólnymi siłami opanujemy Ziemię.

— Wy, z Pan Tang, byliście zawsze dziwną rasą, wciąż myślicie o podbojach i o złamaniu równowagi Młodych Królestw.

— Pewnego dnia — warknął Theleb K'aarn — Pan Tang będzie tak potężne, że twoje Chwalebne Cesarstwo wyda się przy nim pyłkiem zagubionym gdzieś w historii. Ja jednak nie robię tego wszystkiego dla chwały Pan Tang.

— Więc dla Yishany? Na bogów, czarownika, cieszę się, że kieruje mną nie-

nawiść, a nie miłość. Sprawiam chyba o połowę mniej kłopotów niż zakochani...

— Rzucę całe południe do stóp Yishany, a ona będzie z tego zadowolona!

— Nudzi mnie twoje gadanie. Co chcesz ze mną zrobić?

— Najpierw sprowadzę cierpienia na twoje ciało. Na początek bardzo delikatne. Będę tak to robić, aby wyzuć cię zupełnie z osobowości. Później skontaktuje się z Władcami Górnego Piekła, by dowiedzieć się, któremu najbardziej zależy na twojej duszy, i który da za nią najwięcej.

— A co zrobisz z Kaneloon?

— Kelmainowie zajmą się tym. Teraz potrzebny jest już tylko nóż, aby zarząć śpiącą Myshellę.

— Jest chroniona.

Twarz czarownika na chwilę pociemniała, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

— Też coś. Wrota zostaną rozbite, a twój rudy przyjaciel zginie razem z Myshellą.

Theleb K'aarn przejechał palcami po swoich natłuszczonych, kręconych włosach.

— Na prośbę Umbdy pozwoliłem Kelmainom odpocząć przed zniszczeniem zamku. Kaneloon spłonie przed zmierzchem.

Elryk spojrział na zamek i ośnieżoną równinę. Był pewien, że jego próby nie pokonały zaklęcia czarownika.

— Myśle... — zaczął, lecz przerwał zobaczywszy srebrno-złoty błysk na murach. Jeszcze nie sformułowana myśl zaczęła mu się kołatać po głowie.

— Co? — spytał ostro Theleb K'aarn.

— Nic. Zastanawiałem się tylko, gdzie jest mój miecz.

Czarownik wzruszył ramionami.

— Nigdzie tam, gdzie mógłbyś go odnaleźć, łotrze. Zostawiliśmy go w miejscu, gdzie upadł. To przeklęte ostrze nie będzie ci już potrzebne. Ani też żadne inne.

Elryk zastanawiał się, co by się stało, gdyby zawołał swój miecz. Nie mógłby go chwycić, bo czarownik związał go solidnym jedwabnym sznurem. Jedyne, co mógł, to go wezwać...

Wstał.

— Chcesz mnie, Biały Wilku? — spytał nerwowo Theleb K'aarn.

Elryk odpowiedział mu uśmiechając się.

— Chcę tylko lepiej zobaczyć upadek Kaneloon, to wszystko.

Albinos przymknął oczy i zaczął szeptać pewne imię.

Czarownik złapał długi nóż, skoczył ku niemu i chwycił go za włosy.

— Zamknij się, szakalu! — krzyknął przystawiając mu ostrze do gardła.

Elryk wiedział jednak, że ten desperacki plan jest ostatnią nadzieją, więc szeptał dalej. Modlił się, aby pragnienie powolnej zemsty przeważyło w myślach Theleba K'aarna, nad możliwością natychmiastowego zabicia jeńca.

Czarownik zaklął starając się otworzyć mu usta.

— Na początek utnę ci ten przeklęty język!

Elryk ugryził go w rękę. Poczuł krew czarownika i wypluł ją.

— Na Chardrosa! — wrzasnął Theleb K'aarn. — Gdybym nie poprzysiągł sobie, że twoja śmierć trwać będzie miesiącami. . .

W szeregach Kelmainów rozległ się hałas. Był to jęk zaskoczenia wypływający z setek gardzieli. Theleb K'aarn odwrócił się i gwizdnął.

Czarny kształt przemieszczał się w powietrzu. Był to miecz runiczny. Elryk zawołał go głośno:

— Do mnie, Zwiastunie Burzy!

Czarownik popchnął Elryka i uciekł między szeregi Hordy.

— Zwiastunie Burzy!

Miecz wisiał teraz nad Melnibonéaninem.

Kelmainowie jeszcze raz krzyknęli na widok czegoś podnoszącego się znad murów Kaneloon. Prerażony Theleb K'aarn wyjąkał do Umbdy:

— Książę! Przygotuj swoich ludzi do ataku! Czuję, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Umbda nie rozumiał i czarownik musiał powtórzyć mu swoje słowa w języku Kelmainów.

— Nie pozwólcie odzyskać mu miecza! — dodał. Zaczął wrzeszczeć w mowie Kelmainów i wielu wojowników opuściło szeregi starając się złapać runiczny miecz.

Zwiastun Burzy przeciwstawił się im i wszyscy zginęli. Już nikt więcej nie miał odwagi podejść do niego. Miecz powoli zbliżał się do Elryka.

— Elryku! — krzyknął Theleb K'aarn. — Jeśli mi umkniesz, to i tak cię odnajdę.

— A jeśli to ty mnie umkniesz — odparł Melnibonéanin — też bądź pewien, że cię odnajdę.

Rzecz, która opuściła zamek, wykonana była ze srebrnych i złotych piór. Szybowała przez chwilę wysoko nad Hordą z Kelmain, po czym skierowała się ku niej. Elryk, mimo iż nie widział jej dokładnie, wiedział, czym jest. Dlatego wezwał Zwiastuna Burzy. Był pewien, że to Moonglum dosiada wielkiego metalowego ptaka i że będzie się starał uratować go.

— Nie pozwólcie mu wylądować! — darł się Theleb K'aarn. — On przybył na pomoc albinosowi!

Ale Kelmainowie nie zrozumieli go. Pod rozkazami swego wodza szykowali się do ataku na Kaneloon. Theleb K'aara na próżno powtarzał instrukcję w ich języku. Widać było, że nie ufali mu i nie rozumieli, dlaczego przejmuje się samotnym człowiekiem i metalowym ptakiem. Nic nie mogło zatrzymać ich machin wojennych, ani człowiek, ani latający dziwoląg.

Tymczasem miecz przeciął więzy Elryka i ułożył się w jego dłoni. Albinos był wolny, ale Kelmainowie, mimo że nie zwracali na niego uwagi jak Theleb K'aarn, nie mieli zamiaru pozwolić mu ucieść. Teraz, gdy miecz nie latał już za sprawą magii, ale leżał w ręku człowieka, ich strach trochę się zmniejszył.

Książę Umbda wydał jakiś rozkaz. Kohorta wojowników rzuciła się w kierunku Elryka. Nie zaatakował ich, bowiem postanowił bronić się do czasu, gdy Moonglum przyleci mu na pomoc. Ptak był jeszcze dosyć daleko i wydawało się, że lata dookoła armii, a nie interesuje się albinosem. Czyżby się pomylił?

Odparował wiele ciosów trzymając Kelmainów na dystans. Teraz ptak ze srebra i złota znajdował się prawie poza zasięgiem jego wzroku.

Ale gdzie był Theleb K'aarn? Elryk starał się dostrzec go, lecz czarownik musiał już być gdzieś daleko, pomiędzy wojownikami.

Elryk przeciął gardło jednemu z żołnierzy o złocistej skórze i nowa siła napłynęła do jego żył. Odciął ramię kolejnemu napastnikowi. Jasne jednak było, że jeśli ptak nie przyleci mu na pomoc, to tej walki albinos nie wygra.

Srebrno-złoty rumak zmienił kierunek lotu i wydawało się, że zmierza ku Kaneloon. Czyżby na rozkazy swojej śpiącej pani? A może po prostu nie chciał służyć rozkazów Moongluma?

Poprzez zakrwawiony śnieg Elryk cofał się powoli ku stosowi trupów. Nadal walczył, lecz bez większej nadziei. Ptak minął go daleko po lewej stronie. Z gorzką ironią albinos pomyślał, że zupełnie pomylił się co do ptaka wzbijającego się ponad Kaneloon. Wołając miecz przyspieszył tylko śmierć swoją, Myshelli i Moongluma.

Kaneloon było zgubione, tak samo jak Lormyr i wszystkie inne Młode Królestwa. On, Elryk, zresztą też.

Wtedy jakiś cień ukazał się nad walczącymi. Kelmainowie, gdy usłyszeli nad głowami wielki hałas, uciekli w popłochu. Elryk, podniesiony na duchu, rozpoznał odgłos metalowych skrzydeł. Na ptaku siedziała Myshella, nie Moonglum. Patrzyła na niego, a jej włosy powiewały na wietrze.

— Szybko, Elryku! Zanim wrócą!

Albinos schował miecz do pochwy i wskoczył na siodło za czarownicą z Kaneloon. Wzbili się w powietrze, a strzały świstały koło ich głów i odbijały się od metalowych skrzydeł ptaka.

— Jeszcze raz polecimy wokół ich armii, potem wrócimy do zaniku — powiedziała Myshella. — Twoje czary i Nanorion pokonały zaklęcie Theleb K'aarna, ale zabrało to więcej czasu, niż przypuszczaliśmy. Popatrz, Książę Umbda właśnie wydał rozkaz do ataku, a Moonglum jest w zamku zupełnie sam.

— Dlaczego zatem latamy dookoła armii Umbdy?

— Zobaczysz, przynajmniej taką mam nadzieję.

Myshella zaczęła wypowiadać zaklęcia. Był to dziwny śpiew, w języku, który miał coś wspólnego ze Szlachetną Mową Melniboné. Różnił się jednak od niej

na tyle, że Elryk nie rozumiał większości słów, zwłaszcza iż Myshella dziwnie je akcentowała.

Tak więc latali nad Hordą z Kelmain, która ustawiała się w szyku bojowym. Umbda i Theleb K'aarn ustalili już widocznie plan ataku.

Potem wielki ptak powrócił do zamku. Moonglum z pociemniałą twarzą rzucił się im na spotkanie. Wszyscy odwrócili się i zobaczyli, że Kelmainowie już maszerują.

— Co zrobiłaś. . . — zaczął Elryk, ale Myshella uciszyła go gestem ręki.

— Być może nic. Być może moja magia okaże się nieskuteczna. Wysypałam wokół armii zawartość sakwy, którą mi przywiozłeś. Obserwuj. . .

— A jeśli czary nie zadziałają. . . — mruknął Moonglum, lecz zaraz przerwał starając się zobaczyć, co dzieje się w ciemnościach. — Co to?

Z wyrazem iście wampirycznego zadowolenia na twarzy Myshella odpowiedziała:

— Płynący Węzeł Ciała.

Na śniegu coś rośło, coś różowego i trzęsącego się. Było olbrzymie. Pośród krzyków ludzi i rżenia koni otoczyło Hordę z Kelmain. Wyglądało jak mięso, ale było tak wielkie, iż Horda została już nim w części zakryta. Później rozległy się wrzaski bólu i rozpacz. Ani jeden jeździec nie uciekł z Płynącego Wężła Ciała. Substancja zaczęła miażdżyć Kelmainów i Elryk usłyszał najstraszliwszy dźwięk w swoim życiu.

Był to krzyk. Głos tysięcy ludzi pogrążonych w tym samym strachu, skazanych na tą samą śmierć. Jęk rozpacz i przerażenia, tak silny, iż zaczęły od niego wibrować mury Kaneloon.

— To nie jest śmierć godna wojowników — powiedział Moonglum odwracając się.

— Ale to była jedyna broń, jaką mieliśmy — odparła Myshella. — Miałam ją od wielu lat, ale użyłam po raz pierwszy.

— Spośród nich tylko Theleb K'aarn zasłużył sobie na taki los — powiedział Elryk.

Zapadła noc, a Płynący Węzeł Ciała dalej pożerał wszelkie żywe istoty. Jedyne kilku koniom, które uciekły dosyć szybko, udało się uratować.

Węzeł pożarł Księcia Umbdę mówiącego nieznanym w Młodych Królestwach językiem. Tego, który przyszedł spoza Krańca Świata, aby podbić ludzi. Zginął też Theleb K'aarn, który w imię miłości dla lubieżnej królowej chciał przy pomocy Chaosu opanować świat. Pożarci zostali wszyscy wojownicy z Kelmain.

Potem Węzeł stał się na nowo prochem. Na śniegu nie został ani kawałek mięsa, za to wszędzie wałała się broń, zbroje, ubrania, pasy, rozwleczone tak daleko, jak tylko można było sięgnąć wzrokiem.

Myshella potrząsnęła głową.

— Oto był Płynący Węzeł Ciała — powiedziała. — Dziękuję ci, że mi go przywiozłeś, Elryku. Dziękuję też za kamień, który obudził mnie. A zwłaszcza dziękuję ci za uratowanie Lormyru.

— Sam sobie też dziękuję — zauważył albinos. — Nie musisz mi za nic dziękować, Myshello. Zaspokoilem tylko swoje najciemniejsze żądze. Zemściłem się niszcząc Theleb K'aarna. Resztę zrobiłem „przy okazji”. Mało obchodzi mnie Lormyr czy inne sprawy.

Moonglum dojrzał sceptyczny wyraz oczu Myshelli i uśmiechnął się.

Elryk zszedł po schodach do hallu.

— Zaczekaj — powiedziała Myshella. — Ten wspaniały zamek odzwierciedla życzenia tych, którzy tu wchodzi. Oczywiście jeśli mu to rozkażę.

Książę przetarł oczy.

— W takim razie widocznie nie mamy życzeń! Moje zostało spełnione, gdy zginął Theleb K'aarn. Chciałbym teraz opuścić to miejsce.

— Nie masz życzeń?

Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział ponuro:

— Żal rodzi słabość. Do niczego nie prowadzi. Jest jak choroba, która stopniowo niszczy twoje wnętrze, aby cię zabić...

— Więc nie masz żadnych życzeń?

Melnibonéanin zawahał się.

— Rozumiem, o co chodzi. Przyznaję, że twój wygląd... — Wzruszył ramionami. — Ale czy jesteś?...

— Nie zadawaj mi zbyt wielu pytań. Słuchaj, ten zamek może zgadnąć, czego w głębi duszy pragniesz!

Klasnęła w dłonie. Elryk rozejrzał się wokół siebie, otworzył szeroko oczy i zaczął wrzeszczeć. Padł na kolana przed Myshella, błagając.

— Nie, Myshello! Nie chcę tego!

Szybko drugi raz klasnęła. Moonglum podbiegł, pomógł przyjacielowi podnieść się.

— Co takiego uczyniłaś!

Elryk wstał i powiedział spokojnie.

— Pani, zabiłbym cię, gdybym nie rozumiał, że chciałaś sprawić mi przyjemność.

Przez chwilę patrzył w ziemię, potem dokończył wypowiedź.

— Wiedz jedno. Elryk nie może mieć tego, czego najbardziej pragnie. To nie istnieje. Umarło. Wszystko co posiada Elryk, to żal, zło, nienawiść i poczucie winy. Na nie sobie zasłużył, na nic więcej.

Myshella schowała twarz w dłonie i pobiegła do pokoju, w którym zobaczyli ją po raz pierwszy. Albinos poszedł za nią.

Moonglum ruszył za nimi, ale po kilku krokach zatrzymał się. Zobaczył, że zamknęli za sobą drzwi, wrócił więc na mur. Przez chwilę widział błyszczące

w świetle księżycy srebrno-złote skrzydła, po chwili zniknęły. Westchnął. Noc była chłodna.

Wrócił do zamku i położył się przy kominku mając zamiar iść spać.

Po chwili w pokoju na górze rozległ się śmiech. Rozległ się we wszystkich korytarzach. Moonglum uciekł przed nim do stajni.

Tej nocy nie zmrużył oka, śmiech dalej go prześladował. Wojownik nie spał aż do rana.

KSIĘGA DRUGA

**PUŁAPKA
NA
BLADEGO KSIĘCIA**

... to właśnie w Naasokorze, Mieście Żebraków, Elryk odnalazł starego przyjaciela, który powiedział mu coś o starym wrogu...

Kronika Czarnej Miecza

Rozdział 1

MIASTO ŻEBRAKÓW

Nadsokor, Miasto Żebaków, było najpodlejszym spośród Młodych Królestw. Mieściło się koło dzikiej Varkalk oraz Królestwa Org i Lasu Troos. Wydzielalo taki smród, iż dawało się wyczuć z odległości wielu mil, toteż niewielu podróżników zapuszczało się w te strony.

Mieszkańcy tego okropnego miasta rozchodzili się po świecie, zebrząc i kradnąc wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Przynosili następnie swój łup do Nadsokor i oddawali połowę zysków królowi w zamian za opiekę.

Ich król panował już od wielu lat. Nazywano go Urishem o Siedmiu Palcach, bo miał tylko cztery palce u prawej ręki i trzy u lewej. Na jego twarzy widoczne były wszystkie żyły, a brudne i zarobaczone włosy okalały facjatę, na której choroby i brud pozostawiły setki blizn. Wizerunku tego dopełniały przekrwione i chytre oczy. Symbolem władzy Urisha był wielki tasak, który zawsze nosił przy sobie i nazywał pieśczośliwie Tnijmiesem. Jego tron był niedbale wyrzeźbiony z czarnego dębu, inkrustowanego szlachetnymi kamieniami, złotem i kośćmi. Za tronem stał Skarb Urisha — wielki kufer, na który jedynie władca miał prawo patrzeć.

Przez większą część każdego dnia Urish wylegiwał się na swoim tronie, plotkując z posepnymi osobnikami, którzy stanowili jego dwór. Była to zbieranina wykolejeńców o wyglądzie i manierach zbyt odrażających, by tolerowano ich gdzie indziej.

Salę tronową przez cały czas oświetlały i ogrzewały piece, w których palono odpadki. Nic wiec dziwnego, że wszędzie unosił się duszący dym.

Właśnie na dwór Urisha przyszedł jakiś gość. Patrzył w kierunku tronu i od czasu do czasu przytykał do swoich grubych, czerwonych warg mocno wyperfumowaną chustkę. Twarz miał szarą od zmartwień (i smrodu), a oczy spoglądały smętnie na zapchlonych żebraków i stopy śmieci.

Ubrany był w szeroki płaszcz z brokatu, taki jakie noszą w Pan Tang. Miał czarne oczy, wielki nos, ufryzowaną brodę i długie kolczyki. Przytykając chustkę

do ust skłonił się bardzo nisko przed tronem Urisha.

W oczach Króla Żebraków jak zwykle świeciła złośliwość, zwłaszcza gdy obserwował przybysza, o którego wizycie niedawno go uprzedzono. Nazwisko wędrowca coś mu przypominało i szybko domyślił się, jakie powody sprowadziły tutaj Pan Tangijczyka.

— Słyszałem, że nie żyjesz, Theleb K'aarnie. Doniesiono mi, iż zginąłeś pod Lonnyrem, koło Krańca Świata. — Urish uśmiechnął się, ukazując czarne resztki swojego zgniłego uzębienia.

Theleb K'aarn odjął chustkę od ust i przemówił zduszonym głosem, przypominając sobie ostatnią porażkę.

— Moja magia jest wystarczająco silna, aby uwolnić mnie od takiego zaklęcia. Inwokacja pozwoliła mi uciec z Ziemi, podczas gdy Płynący Węzeł Ciała i Myshella niszczyli Hordę z Kelmain.

Urish uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Więc schowałeś się do dziury?

Oczy czarownika z Pan Tang zabłyśły ze złości.

— Nie mam zamiaru rozmawiać o swojej mocy z...

Przerwał, zaczerpnął głęboko powietrza i od razu tego pożałował. Spojrzał podejrzliwie na Dwór Żebraka, na kulawych i pryszczatych, którzy gnieździli się w cuchnącej sali. Żebracy z Nadsokor dobrze znali moc biedy i chorób. Wiedzieli, jak mogły one przerazić obcych. Uczynili ze swojej nędzy zapórę przeciwko intruzom.

Suchy kaszel, który można było uznać za śmiech, zatrząsł ciałem Urisha.

— I to twoja magia cię tutaj sprowadziła?

Całym jego ciałem wstrząsnęły spazmy, ale dalej wpatrywał się uważnie w czarownika z Pan Tang.

— Przebyłem wiele mórz i cały Vilmir, aby tu dotrzeć — odparł Theleb K'aarn. — Słyszałem bowiem, że jest ktoś, kogo nienawidzisz dużo bardziej od innych.

— My nienawidzimy wszystkich tych, którzy nie są żebrakami — powiedział Urish i wybuchnął śmiechem, po czym znów zaczął kaszleć.

— Ale przede wszystkim nienawidzisz Elryka z Melniboné.

— To prawda. Zanim stał się sławny, zanim został Mordercą Swojej Rasy, Zdrajcą Imrryr, przybył tutaj, do Nadsokor, aby oszukać nas. Przebrał się za trędowatego żebraka, mówił, że przybywa ze wschodu spoza Karlarak. Wykiwał mnie i ukradł coś ze Skarbu. A mój Skarb jest święty — nie pozwalam nikomu nawet na niego patrzeć!

— Słyszałem, że ukradł ci pergamin. Słowa zaklęcia, które kiedyś należały do Yyrkoona. Yyrkoon chciał się pozbyć Elryka i powiedział mu, że to zaklęcie wyrwie księżniczkę Cymoril z magicznego snu.

— Tak. Yyrkoon dał pergamin jednemu z naszych obywateli, który poszedł zebrać pod wrota Imrryru. Później Yyrkoon opowiedział to albinosowi, więc ten przyszedł do nas i dzięki magii dostał się do mojego Świętego Skarbu.

Theleb K'aarn rzucił okiem na Dwór Urisha.

— Niektórzy uważają, że nie było w tym winy Elryka, a prawdziwym winnym był Yyrkoon. On też was oszukał. Zakłęcie nie obudziło Cymoril, nieprawdaż?

— Tak, ale w Nadsokorze mamy swe prawo. . .

Urish podniósł swój wielki tasak i pokazał wyszczerbione i zardzewiałe ostrze. Była to nadal straszliwa broń.

— To prawo mówi, że każdy, kto spojrzy na Święty Skarb Urisha, musi umrzeć w straszliwy sposób, rzucony na pastwę Płomiennego Boga!

— I żaden z twoich wędrownych poddanych nie dopełnił jeszcze zemsty?

— Muszę osobiście wykonać wyrok. On musi powrócić do Nadsokoru, bo tylko tutaj można go ukarać.

— Nienawidzę Elryka — powiedział Theleb K'aarn.

Jeszcze raz Urish zaśmiał się.

— Słyszałem, że gonił cię po wszystkich Młodych Królestwach. Wzywałeś coraz potężniejsze siły, ale zawsze cię pokonywał.

Theleb K'aarn zasepił się.

— Uważaj, Królu Urishu. Szczęście mi nie sprzyjało, ale jestem nadal najpotężniejszym czarownikiem z Pan Tang.

— Pozbywasz się jednak swojej mocy i za dużo żądasz od Władców Chaosu. Kiedyś znudzą się pomaganiem tobie i znajdą kogoś innego na twoje miejsce.

Oślinione wargi Króla Urisha zacisnęły się na czarnych zębach. Nawet nie mrugnął, bladymi oczyma obserwując Theleb K'aarna. Dworzanie zbliżyli się szurając nogami, stukając kulami i kijami. Urish złapał jedną ręką za tasak, a drugą podrapał się po genitaliach. Zrogowaciałe paznokcie zgrzytały, gdy zdrapywał brud. Gdzieś za tronem jakaś kobieta zaśmiała się pożądliwie.

Jakby szukając pociechy, czarownik przytknął wyperfumowaną chustkę do nosa. Przygotowywał się do obrony przed ewentualnym atakiem.

— Myślę jednak, że pozostało ci jeszcze trochę mocy — powiedział nagle Urish, rozładowując napięcie panujące w sali. — W przeciwnym razie nie stałbyś jeszcze tutaj.

— Moja moc zwiększyła się.

— Być może chwilowo.

— Moja moc. . .

— Przypuszczam, że masz już gotowy plan zniszczenia Elryka — powiedział Urish ostrym tonem, wachając równocześnie rękę, którą wyjął z pewnego miejsca.

Żebracy uspokoili się. Tylko Theleb K'aarn dalej był zdenerwowany. Przekrwione oczy Króla Żebraków patrzyły na niego z sardonycznym wyrazem.

— I potrzebujesz mojej pomocy, bo wiesz, że nienawidzę tego rabusia o kredowobiałej twarzy.

— Czy chcesz zapoznać się ze szczegółami mojego planu? Urish wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie. Może przynajmniej przestanę się nudzić.

Zaniepokojony Theleb K'aarn rozejrzał się po rechoczącym tłumie. Chciałby znać jakieś zakłęcie rozprasające smród.

Odetchnął głęboko przez swoją chustkę i zaczął mówić...

Rozdział 2

SKRADZIONY PIERŚCIEŃ

Siedzący w kącie młody dandys zamówił kolejną amforę wina. Cały czas zerkał w róg sali, gdzie siedział Elryk. Później pochylił się ku swoim kompanom — kupcom i młodym szlachcicom pochodzącym z różnych narodów — i ciągnął dalej ściszym głosem swoją mowę.

Albinos wiedział, że był jej głównym tematem. Jak zwykle. Pogardzał takim zachowaniem, ale był zmęczony i niecierpliwie czekał na powrót Moongluma. Miał ochotę wygonić dandysa, chociażby dla zabicia czasu. Zaczynał żałować, że przyjechał do Starego Hrolmaru.

To bogate miasto było skrzyżowaniem dróg, w którym spotykali się najróżniejsi obywatele Młodych Królestw: awanturnicy, najemnicy, rzemieślnicy, malarze, kupcy, poeci. Pod władzą dumnego Księcia Arana Astrana, vilmiryjska aglomeracja przeżywała głębokie zmiany.

Książę Aran zwiedził najodleglejsze zakątki świata i przywiózł z nich bogactwo i wiedzę, z których korzystał teraz Stary Hrolmar. To zasobne i cywilizowane miasto rozkwitło dzięki temu, że przyciągało bogatych i uczonych ludzi.

Dzięki bogatym i uczonym kwitło też gadulstwo. Jeśli ktoś jest bardziej gadatliwy od kupców czy marynarzy, to właśnie malarze i poeci. Oczywiście wiele mówiono o pechowym albinosie. Elryk z Melniboné stał się bohaterem wielu ballad napisanych przez wierszokletów.

Elryk zgodził się przyjechać tutaj tylko na prośbę Moongluma, który uważał, że jest to najlepsze miejsce do zdobycia pieniędzy. Potrzebowali zapasów i koni, a hojność albinosa doprowadziła ich do skrajnej nędzy.

Pierwotnie Elryk miał zamiar pojechać prosto do Tanelorn, dokąd wcześniej zmierzali. Moonglum słusznie zauważył, że nie byli przygotowani do długiej podróży przez równiny Vilmiru i Ilmioru, aż do brzegu Pustyni Westchnień. Tam, gdzie leżało tajemnicze Tanelorn. Melnibonéanin przyznał rację swojemu towarzyszowi, ale po spotkaniu z Myshellą i widoku Płynącego Węża Ciała był zmęczony i marzył o spokoju, jaki mógł mu dać Tanelorn.

Jedna rzecz nie podobała mu się — oberża była za bardzo zatłoczona i zbyt oświetlona jak na jego gust. Wolałby skromniejszą tawernę, takie miejsce gdzie ludzie przyzwyczajeni są do myślenia o tym, co mówią. Lecz Moonglum uznał, że lepiej wydać ostatnie pieniądze w wygodnym miejscu, do którego można by kogoś zaprosić. Oczywiście, gdyby to było potrzebne.

Elryk pozwolił Moonglumowi zająć się zdobyciem pieniędzy. Wiedział, że tamten ukradnie je pewnie, ale nie obchodziło go to.

Wzdychając starał się znieść ukradkowe spojrzenia sąsiadów i nie słuchać plotek młodego dandysa. Wypił puchar wina i zaczął jeść drób podany na zimno. Schował głowę w wysoki kołnierz czarnej peleryny, lecz czyniąc to sprawił, iż jego twarz wydała się jeszcze bardziej blada.

Gdy rozglądał się po jedwabiach, futrach i biżuterii klientów tawerny, czuł, jak rośnie w nim chęć znalezienia się w Tanelorn, gdzie ludzie, którzy dużo przeżyli, mało mówią.

— ... i zabił swoją matkę i swojego ojca. O kochanku jego matki mówią...

— ... najbardziej lubił spać z trupami...

— ... i dlatego Władcy Górnego Piekła rzucili na niego śmiertelne zaklęcie...

— ... był kazirodca. Wiem to od kogoś, kto podróżował razem z nim...

— ... tak, a jego matka odbywała stosunki z samym Ariochem. Owocem tego...

— ... to było po tym, jak zdradził własny lud...

— ... raczej lubieżny, to prawda. Nie lubi żartować. Muszę powiedzieć...

Śmiechy.

Elryk starał się odprężyć wypijając resztkę wina, ale plotki nie ustawały.

— ... mówią, że to oszust. Prawdziwy Elryk zginął w Imrryze...

— ... prawdziwy księżę z Melniboné byłby ubrany bardziej elegancko, a on...

Znowu śmiechy.

Elryk wstał odrzucając pelerynę do tyłu, aby ukazać czarny miecz wiszący mu u pasa. Większość ludzi ze Starego Hrolmaru słyszała o Zwiastunie Burzy i o jego straszliwej mocy.

Zbliżył się do stolika młodego dandysa.

— Panowie, jestem gotów urozmaicić waszą zabawę! Macie przed sobą kogoś, kto będzie mógł wam zademonstrować niektóre z rzeczy, o jakich rozmawialiście. Co byście na przykład powiedzieli o jego skłonności do pewnej formy wampiryzmu? Nie słyszałem, abyście mówili coś na ten temat...

Młody dandys zakasłał i wzruszył nerwowo ramionami.

— A więc? — nalegał Elryk z niewinnym uśmiechem. — Czy nie pomóc wam w czymś?

Rozmowy nagle ucichły. Wszyscy z wielką zawziętością zajęli się zawartością swoich talerzy. Elryk znowu uśmiechnął się powodując jeszcze większą konsternację.

— Chciałem się tylko dowiedzieć, czego panowie chcieliby posłuchać. Później udowodnię wam, że naprawdę jestem tym, którego nazywają Mordercą Swojej Rasy.

Ubrani we wspaniałe szaty kupcy i szlachcice wstali unikając jego wzroku. Z udaną brawurą dandys i pozostali skierowali się powoli ku drzwiom. Ale Elryk stanął na ich drodze z ręką na głowicy Zwiastuna Burzy.

— Nie chcecie być moimi gośćmi? Pomyślcie, ile mielibyście do opowiadania swoim przyjaciołom. . .

— Bogowie! Co za gbur! — syknął dandys, cały się trzęsąc.

— Panie, nie mieliśmy złych intencji. . . — wybełkotał gruby handlarz ziół z Shazaru.

— Mówiliśmy o kimś innym — dodał młody szlachcic gorzko się uśmiechając.

— Mówiliśmy, jak pana podziwiamy — wymamrotał kimiryjski rycerz, którego twarz stała się tak blada jak twarz Elryka.

Tarkeshicki kupiec zwilżył wargi koniuszkiem języka i starał się zachowywać z większą godnością niż jego towarzysze.

— Panie — powiedział — Stary Hrolmar jest cywilizowanym miastem. Szlachetnie urodzeni nie kłócą się. . .

— Tylko plotkują jak wiejskie baby — dokończył za niego Elryk.

— Tak — dodał młody szlachcic. — To znaczy nie. . .

Dandys dokładnie owinął się peleryną i spoglądał na sufit oberży.

Elryk odsunął się. Tarkeshicki kupiec z wahaniem postąpił krok do przodu, a potem zaczął biec ku wyjściu. Za nim ruszyli pozostali. Elryk przez chwilę przysłuchiwał się, jak ich buty stukają o bruk, a potem zaczął się śmiać. Słyszac to biegnący przyspieszyli i wkrótce skryli się za rogiem.

Elryk uśmiechnął się i spokojnie oglądał bogato zdobione dachy domów. Nagle usłyszał jakiś hałas z drugiego końca ulicy. Odwrócił się i zobaczył nowo przybyłych.

Elhweryjczyk szedł w towarzystwie dwóch mocno umalowanych kobiet ubranych w suknie o krzykliwych barwach. Bez wątplenia były to vilimiryjskie prostytutki. Wojownik trzymał każdą z nich za talię i wyrzaskiwał jakąś balladę, co i rusz zatrzymując się, aby wypić trochę wina, które jedna z kobiet wlewała mu do gardła. Elryk zauważył, że obydwie prostytutki niosły spore dzbany i na przemian poiły Moongluma.

Na kilka kroków przed oberżą Elhweryjczyk rozpoznał swego towarzysza. Mrugając oczami krzyknął:

— Widzisz?! Nie zapomniałem o tobie, książę z Melniboné. Jedna z tych ślicznotek jest dla ciebie.

Elryk zaczął mu dziękować z przesadną uprzejmością.

— Jesteś naprawdę zbyt dobry dla mnie. Myślałem jednak, że wyruszyłeś na poszukiwanie złota. Czyż nie po nie przybyliśmy do Starego Hralmaru?

— Tak — rzucił radośnie Moonglum całując dziewczyny po piersiach, co wywołało ich piskliwy śmiech.

— To prawda — ciągnął. — Złoto albo coś, co można na nie zamienić. Uratowałem te dwie młode damy na drugim końcu miasta z rąk pewnego okrutnego sutenera. Przyrzekłem, że odsprzedam je łagodniejszemu panu. Oczywiście jeśli mi się za to odwdzięczą!

— Ukradłeś niewolnice?

— Jeśli tak chcesz to nazwać. Ja wolę powiedzieć: „uwolniłem” je za pomocą stali od straszliwych cierpień. To humanitarny uczynek. Dla nich już skończyła się nędza!

— Ich nędzne życie również wkrótce się skończy, podobnie jak i nasze. To pewne. Wystarczy tylko, aby ich sutener odkrył kradzież i zadenuncjował nas straż. Jak one wpadły w twoje ręce?

— To raczej ja wpadłem w ich ręce! Wynająłem się jakiemuś kupcowi i miałem go eskortować w pewne miejsce. Jednak podczas gdy on używał sobie w najlepsze, ja popijałem na dole z tymi dwiema ślicznotkami, które opowiedziały mi o swoim nieszczęściu. Musimy je uratować!

— Bardzo sprytny plan — warknął Elryk.

— To ich plan. Mają równie dobre mózgi co...

— Pomogę ci odprowadzić je do właściciela, zanim straż miejska zacznie nas szukać.

— Ale, Elryku...

Elryk chwycił przyjaciela w pól, zarzucił sobie na plecy i zaniósł do kanału. Tam chwycił go za kołnierz i zanurzył kilka razy w brudnej wodzie. Trzęsąc się Moonglum spojrzał na niego smutno.

— Wiesz przecież, że mam skłonności do katarów.

— I do picia! Nie lubią nas tutaj! Straż czeka tylko na jakiś pretekst, aby nas złapać. W najlepszym razie zdołalibyśmy uciec z miasta nic nie załatwiwszy. W najgorszym, ścięto by nas.

Wrócili do prostytutek. Jedna z nich uklękła, chwyciła Elryka za rękę i pocałowała w udo.

— Panie, mam wiadomość... — zaczęła.

Elryk schylił się, aby ją podnieść.

Krzyknęła i szeroko otworzyła oczy. Elryk najpierw się zdziwił, po czym odwrócił idąc za jej wzrokiem. Zobaczył grupkę, którą wygonił z tawerny. Kierowali się ku niemu i ku Moonglumowi, aby się zemścić. Sztylety błysnęły w ciemnościach. Elryk zobaczył, że ci, co je nieśli, mieli czarne opończe zawodowych morderców. Szło ich tak około dziesięciu. Widocznie młody dandys był bardzo bogaty, gdyż wynajęcie mordercy w Starym Hrolmarze drogo kosztowało.

Moonglum wyciągnął już swoje miecze i bił się z pierwszym szermierzem. Elryk dotknął Zwiastuna Burzy, miecz sam wysunął się z pochwy. Ostrze błysnęło czernią, gdy albinos wydał z siebie wojenny zew.

Jeden z morderców krzyknął: „Elryk!” Jasne było, iż dandys nie powiedział im, kogo mają zabić. Melnibonéanin odparował cios drugiego miecza i odciął przeciwnikowi dłoń. Ranny cofnął się krzycząc z bólu.

Pojawiły się kolejne miecze. Lodowate oczy świeciły pod czarnymi kapturami. Zwiastun Burzy rozpoczął swój śpiew, a byk to pieśń zwycięstwa. Rozkosz płynąca z walki widniała na twarzy albinosa. Przy każdym ciosie jego oczy błyskały w bladej twarzy.

Noc wypełniły krzyki, przekleństwa, ryki mężczyzn, szczęk stali, szuranie butów na kamieniach, głuchy dźwięk ostrzy wbijających się w mięso i łamiących kości. Elryk kręcił się wkoło, oburącz trzymając miecz. Nie widział Moongluma i modlił się, aby ten jeszcze żył. Od czasu do czasu zauważał jedną z dziewczyn i zastanawiał się, dlaczego nie uciekły.

Ciała wielu zakapturzonych morderców walały się po ziemi, a ci, co przeżyli, zaczęli cofać się pod ciosami. Wiedzieli, jaką moc posiada runiczny miecz i widzieli wyraz twarzy swych martwych kamratów w chwili, gdy piekielne ostrze wypijało ich dusze. Po każdym zabójstwie Elryk stawał się coraz silniejszy, a błysk Zwiastuna Burzy coraz intensywniejszy.

Nagle albinos wybuchnął dzikim śmiechem. Echo rozniosło jego głos po Starym Hrolmarze i ci, co go usłyszeli, zatkali uszy. Mieli wrażenie, że są więźniami w straszliwym koszmarze.

— Chodźcie, przyjaciele! Mój miecz jest jeszcze spragniony!

Jeden z morderców przysunął się bliżej. Elryk podniósł czarne ostrze. Mężczyzna starał się jeszcze zasłonić głowę, ale Zwiastun Burzy spadł łamiąc miecz napastnika i tnąc jego kark. W sekundę później dotarł do szyi i wbił się w tors. Morderca został przecięty na pół, a runiczny miecz zatrzymał się na chwilę w jego wnętrzościach, aby napić się resztkami duszy złoczyńcy. Pozostali napastnicy uciekli w nieładzie.

Elryk zaczerpnął głęboko powietrze, schował Zwiastuna Burzy do pochwy i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu Moongluma. Coś uderzyło go w potylicę. Poczł mdłości, ale spróbował utrzymać równowagę. Coś innego ukłuło go w rękę i jak przez mgłę wydawało mu się, że rozróżnia rysy Moongluma. Ale to nie był on. Może to kobieta. . . Trzymała go za lewą rękę. Gdzie chciała go zaprowadzić? Kolana ugięły się pod nimi i upadł na bruk. Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Dziewczyna ciągle trzymała go za rękę, jakby chciała go gdzieś zaprowadzić. Ale nie miał siły iść za nią. . . upadł na bok i zobaczył poruszające się na niebie gwiazdy. . .

. . . Był już świt. Słońce oświetlało poskręcane wieże Starego Hrolmaru. Zdał sobie sprawę, że minęło już wiele godzin od walki z mordercami.

Twarz Moongluma ukazała się w jego polu widzenia. Wyglądał na zaniepokojonego.

— To ty?

— Dzięki wam, Bogowie Elhweru! Myślałem, że to zatrute ostrze zabiło cię. Gdy rozjaśniło się mu w głowie, Elryk usiadł.

— Zaatakowali mnie od tyłu. Jak?

Moonglum wyglądał na zażenowanego.

— Obawiam się, że te dziewczyny nie były tymi, za które się podawały.

Elryk przypomniał sobie dziewczynę, która ciągnęła go za rękę i spojrzał na swoją dłoń.

— Moonglumie! Pierścień Królów zniknął! Ukradzono mi Actoriosa!

Przodkowie Elryka nosili ten klejnot przez całe wieki. Był on symbolem władzy i źródłem nadprzyrodzonej mocy. Twarz Moongluma pociemniała.

— A ja myślałem, że ukradłem te dziewczyny. To były zwyczajne złodziejki! Przygotowały wszystko. Było to proste, muszę przyznać...

— Jest jeszcze coś... nie ukradły nic oprócz Pierścienia Królów. Mam trochę złota w sakiewce.

Wstając, albinos pokazał sakiewkę u pasa. W zamian Moonglum wskazał mu palcem rynsztok, w którym leżała, w kałuży krwi i błota, jedna z dziewczyn.

— Ciał ją podczas walki jeden z morderców. Umierała przez całą noc. Bez przerwy szeptała twoje imię. Ja jej go nie podałem. Myślę, że masz rację. Ktoś jej przysłał, aby ukradły pierścień. Dałem się oszukać.

Elryk zbliżył się do dziewczyny i uklęknął przy niej. Dotknął jej skroni i wtedy podniosła powieki. Po cichu jej wargi wymówiły jego imię.

— Dlaczego miałaś mnie okraść? — spytał. — Kto jest twoim panem?

— Urish — szepnęła. — Miałam ukraść pierścień... i zawieźć... do Nadsokoru...

Książę schylił się i zobaczył bukłak wina leżący koło dziewczyny. Chciał ją napoić, ale płyn ściekał jej po szyi i rozlał się na piersiach.

— Czy jesteś żebraczką z Nadsokoru? — spytał nagle Moonglum.

Słabo skinęła głową.

— Urish nigdy nie przestał być moim wrogiem — powiedział Elryk. — Być może uznał teraz Actoriosa za wyrównanie rachunków. — Spojrzał na dziewczynę. — Czy twoja towarzyszka wróci do Nadsokoru?

Wydawało się, że przytaknęła, po czym przestała oddychać.

— Zostaw mu pierścień — poradził Moonglum tonem pełnym nadziei. — Zadowolili się tym.

Elryk potrząsnął głową.

— Za tydzień — ciągnął Moonglum — karawana opuści Jadmar. Będzie nią dowodzić Rackhir, a wieźć będzie zapasy dla Tanelorn. Jeśli wsiądziemy na jakiś statek, to szybko dotrzemy do Jadmaru i dołączymy do karawany Rackhira.

Dotrzemy do Tanelorn w dobrym towarzystwie. Jak wiesz, rzadko się zdarza, by mieszkaniec tego miasta wyruszał w taką podróż. Mamy szczęście. . .

— Nie — przerwał mu albinos. — Musimy póki co zapomnieć o Tanelorn. Pierścień Królów łączy mnie z przodkami. Więcej, wspomaga moje zaklęcia. Niejednokrotnie uratował nas. Pójdziemy do Nadsokoru. Może po drodze uda nam się złapać drugą dziewczynę. Jeśli nie, trzeba będzie dostać się do miasta, aby odzyskać pierścień.

Moonglum wzruszył ramionami.

— To najgorszy z najgorszych planów, Elryku. Urish nas zabije.

— Mimo wszystko muszę pojechać do Nadsokoru.

Moonglum schylił się nad martwą dziewczyną i zdjął z niej biżuterię.

— Jeśli mamy kupić dobre konie, to będziemy potrzebować każdego grosza.

Rozdział 3

UPIORY

Na krótko przed zachodem słońca zobaczyli Nadsokor. Na tle szkarłatnego nieba przypominało bardziej opuszczony cmentarz niż zamieszkane miasto. Jego wieże były krzywe, mury na wpół zburzone, a domy rozlatywały się. Elryk i Moonglum wjechali na swoich rumakach (na które wydali wszystkie pieniądze) na wzgórze i obserwowali miasto. Jeszcze gorzej — poczuli je. Z tej aglomeracji rozchodziło się tysiąc różnych smrodów, toteż dwaj towarzysze zatkali sobie nosy, aż do momentu, gdy schowali się bezpiecznie w dolinie.

— Zatrzymamy się tutaj do zapadnięcia zmroku — powiedział Elryk. — Potem wejdziemy do miasta.

— Nie jestem pewien, czy zniosę ten smród. Jakkolwiek byśmy się nie przebrali, nasze miny dowiodą, że jesteśmy obcy.

Albinos z uśmiechem wyjął ze swojej torby dwie tabletki i jedną podał Moonglumowi. Człowiek ze wschodu spojrzał na niego podejrzliwie.

— Co to?

— Lek. Używałem go podczas pierwszej wizyty w Nadsokorze. Zabije zupełnie twój zmysł powonienia i, niestety, przy okazji również smaku.

Moonglum zaczął się śmiać.

— Nie mam zamiaru obżerać się w Mieście Żebraków!

Połknęli szybko pastylki. Prawie natychmiast przestali czuć smród. Później, gdy jedli suchy chleb (tylko to zostało), Elhweryjczyk zauważył:

— Nic nie czuję. Ten lek jest naprawdę skuteczny.

Elryk przytaknął obserwując jednocześnie ze zmarszczonym czołem wzgórze, które oddzielało ich od miasta. Jego towarzysz zaczął ostrzyć swoje miecze nie spuszczać przyjaciela z oczu. Zastanawiał się, o czym myśli.

— Oczywiście — powiedział wreszcie Elryk — aby nie wzbudzać podejrzeń, będziemy musieli zostawić tutaj nasze wierzchowce. A teraz założymy na siebie łachmany.

— Zauważą nasze miecze.

— Nie, jeśli te szmaty okażą się wystarczająco obszerne. Będziemy musieli chodzić tak, jakbyśmy mieli sztywne nogi. To normalne wśród żebraków.

Moonglum ze smutną miną zdjął juki z koni i wyjął z nich łąchmany. Po chwili żalosna dwójka, jeden kulawy i garbaty, drugi mały o sztywnej ręce, skierowała się poprzez wysypiska śmieci okalające miasto, ku licznym dziurom w murze.

Nadsokor zostało opuszczone kilka wieków temu. Jego ludność chciała uciec przed wyjątkowo groźną epidemią ospy. Żebracy przybyli niedługo potem. Od tego czasu nic nie uczyniono w celu wzmocnienia szańców, jednak błoto, które nazbierało się pod nimi, było skuteczniejsze od jakiegokolwiek muru.

Nikt nie zauważył dwóch osób, które wślizgnęły się do Miasta Żebraków. Tylko olbrzymie szczury stawały na tylnych łapach, aby się im lepiej przyjrzeć. Szli brudnymi uliczkami kierując się ku byłemu budynkowi senatu, tam gdzie mieścił się obecnie pałac Urisha. Na ich widok wyliniałe psy uciekały w ciemne zakamarki. Dwaj towarzysze minęli rząd ślepców, którzy szli drugą stroną ulicy. Ze zrujnowanych domów dobiegały śmiechy i różne inne odgłosy. Kalecy świętowali razem z inwalidami, podczas gdy degeneraci gzili się ze staruchami. Kiedy wędrowcy przechodzili koło dawnego forum, doleciał ich z gruzów krzyk strachu i wybiegła stamtąd naga dziewczynka. Włosy nie zaczęły jej jeszcze rosnąć na łonie. Gonił ją przeraźliwie tłusty żebrak. Moonglum chciał interweniować, lecz Elryk przytrzymał go. Opasła kreatura dopadła dziecko i zaczęła je gwałcić.

Moonglum starał się wyrwać z uścisku Elryka, ale albinos szepnął mu do ucha:

— Uspokój się. Ci, co zachowali czystość swojej duszy lub ciała, nie są tolerowani w Nadsokorze.

Elhweryjczyk spojrzał na niego ze łzami w oczach.

— Twój cynizm jest równie okropny, jak czyny!

— Nie wątpię. Ale musimy odzyskać Pierścień Królów. Nic ponadto.

— Po co, skoro?...

Ale Elryk już szedł dalej. Po chwili wahania Moonglum ruszył za nim. Dotarli przed pałac Urisha. Kilka kolumn zaważyło się, ale na tym budynku, w przeciwieństwie do innych, widoczne były ślady remontów, a nawet dekoracji.

Na łuku, ponad głównym wejściem, wymalowano wulgarne scenki z życia żebraków. Egzemplarz każdej monety używanej w Młodych Królestwach został wbity w drewnianą belkę, a jeszcze wyżej wisiały dwie skrzyżowane kule. Był to ironiczny symbol, iż bronią żebraków są zgroza i obrzydzenie, które budzą u ludzi bogatych.

— Nie widać strażników — zauważył Elryk obserwując pałac.

— Dlaczego mieliby być? Czy jest tu coś do pilnowania?

— Stali, gdy byłem poprzednim razem w Nadsokorze. Urish zazdrośnie chroni swoich skarbów. Nie boi się obcych, lęka się swoich, tych kanalii, które go otaczają.

— Być może już nie...

— Tacy jak Urish nigdy nikomu nie ufają. Będziemy musieli bardzo uważać, gdy tam wejdziemy. Możliwe, że zastawił na nas pułapkę. Gdy coś będzie nie tak, od razu wyciągaj miecz.

— Ale skąd Urish może wiedzieć, iż dziewczyna wszystko nam powiedziała?

— Wierzę, że dowiedzieliśmy się tego przez przypadek, jednak nie powinniśmy nie doceniać sprytu Króla Żebraków.

— Wątpię, by pragnął cię tu ściągnąć, gdy masz Czarny Miecz u boku.

— Być może.

Weszli do cichego, ciemnego wnętrza. Z bardzo daleka dochodziły do nich krzyki, śmiechy i jęki. Stanęli przed drzwiami, popchnęli je. Zaskrzypiały, ale nikt się nie pojawił. Przy drugim popchnięciu uchyliły się. Dwaj towarzysze wśliznęli się przez szparę do sali tronowej. Słabe światło wydobywało się z pieców, w których paliły się odpadki. Wydobywający się z nich gęsty dym wypełniał salę. Mimo to Elryk dostrzegł na jej końcu Urisha, siedzącego na swym tronie. Wyglądało na to, że w sali nie było nikogo innego. Pomimo tego Melnibonéanin nie puszczał rękojęści Zwiastuna Burzy.

Zaalarmował go jakiś hałas, był to jednak tylko tupot szczura uciekającego przed nimi. Znowu zapanowała cisza. Powoli i ostrożnie albinos posuwał się do przodu. Tuż za nim szedł Moonglum.

Kiedy zbliżyli się do tronu, Elryk poczuł się pewniej. Być może Urish był tak przekonany o swoim tu bezpieczeństwie, że po prostu zasnął. Wystarczy tylko otworzyć kufer, wziąć pierścień i opuścić przed świtem miasto. Potem wystarczy dogonić Karawanę Czerwonego Łuczника Rackhira i pojechać razem z nim do Tanelorn. . . Odprężył się trochę, lecz był nadal ostrożny. Moonglum nagle zatrzymał się i przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał.

— Co się stało? — spytał Elryk.

— Być może nic. Może to jeszcze jeden szcur, ale. . .

Srebrno-niebieski blask ukazał się za śmiesznym tronem i albinos musiał zakryć dłonią oczy. Jednocześnie starał się wydobyć Zwiastuna Burzy spod łachmanów.

Z krzykiem Moonglum rzucił się ku drzwiom. Melnibonéanin, mimo że odwrócił się plecami do źródła światła, nic nie widział. Miecz w pochwie wydał coś w rodzaju ryku wściekłości. Elryk starał się go wyciągnąć, ale wszystkie siły opuściły go. Członki odmówiły mu posłuszeństwa. Usłyszał śmiech. Śmiech, który dobrze znał, i drugi, podobny do kaszlu.

Odzyskał wzrok, ale wciąż trzymały go oślizłe ręce. Kiedy zobaczył tych, co go złapali, przebiegł po nim dreszcz odrazy. Był bowiem na łasce Stworzeń Cienia, upiorów przywołanych przez magię. Ich trupie twarze uśmiechały się, ale oczy były martwe. Poczuł, iż ciepło i siły opuszczają jego ciało — jakby żywiły się nimi upiory. Wydawało mu się, że opuszcza go życie.

Znowu usłyszał śmiech. Spojrzał ku tronowi i zobaczył Theleb K'aarna, którego od kilku miesięcy uważał za martwego. Czarownik uśmiechał się obserwując Elryka. Wtedy pojawił się odrażający wrak człowieka — Urish, ściskający w lewej ręce Tnijmięso.

Albinos mógł jedynie unieść trochę głowę, ale udało mu się roześmiać z własnej głupoty. Przewidział, iż może oczekiwać na niego pułapka, a jednak dobrowolnie wszedł w nią bez przygotowania.

Gdzie był Moonglum? Czyżby go opuścił?

Urish usiadł z powrotem na tronie, położył przed sobą tasak i spojrzał na Melnibonéanina. Triumfujący Theleb K'aarn stał tuż przy nim.

— Jestem szczęśliwy widząc cię ponownie w Nadsokorze — powiedział Urish oddając jednocześnie mocz na podłogę. — Mam nadzieję, że przybyłeś tutaj, aby ponieść zasłużoną karę.

Chłód coraz bardziej opanowywał ciało Elryka. Wiedział, iż umiera, a Zwiastun Burzy tkwił bezużyteczny w pochwie, z której albinos nie mógł go wyjąć.

— Przyszedłem po swoją własność — powiedział szciekając zębami.

— Pierścień Królów? On był twój. — Urish zarechotał. — Nie spodziewałem się, że tak łatwo wpadniesz w moją pułapkę, Biały Wilku z Imrryr.

— Uciekłbym ci jeszcze raz, gdybyś nie miał przy sobie tego zaklinacza-amatora!

Theleb K'aarn spojrzał na niego groźnie, ale po sekundzie odzyskał spokój i spytał:

— Czy moje upiory troszeczkę ci nie przeszkadzają?

Elryk dyszał ciężko. Nie mógł już nawet poruszyć głową. Theleb K'aarn musiał przez tygodnie przygotowywać swój plan. Trzeba było zawrzeć wiele paktów i wypowiedzieć wiele zaklęć, aby ściągnąć te upiory na Ziemię.

— Umieram — szepnął albinos. — Dziwne, że jest mi to obojętne. . .

Urish spojrzał na niego z udawaną dumą.

— Jeszcze nie umrzesz, Elryku z Melniboné. Musi zostać wydany wyrok! Trzeba przestrzegać formalności! Na mój tasak, muszę cię skazać za zbrodnie popełnione przeciwko Nadsokorowi i Świątemu Skarbowi Króla Urisha!

Książę ledwie go słyszał. Wydawało mu się, że tłum żebraków schodzi się do sali. Czy czekali na ten moment? Czy zabili Moongluma?

— Podnieście mu głowę! — rozkazał swoim trupim sługom Theleb K'aarn.

— Niech spojrzy na Urisha, Króla Wszystkich Żebraków!

Elryk poczuł jedną lodowatą rękę pod szczęką, a drugą na potylicy. Jak przez mgłę zobaczył wymachującego tasakiem Urisha.

— Elryku z Melniboné. Udowodniono ci popełnienie wielu zbrodni przeciwko Najpodlejszemu z Podłych, mnie — Urishowi z Nadsokoru. Obraziłeś też mojego przyjaciela, Najnędnieszego z Degeneratów — Theleb K'aarna. . .

Słyszając te słowa czarownik przygryzł sobie język, ale nie ośmielił się przerwać przemowy swojemu sprzymierzeńcowi.

— ...poza tym, powróciłeś tutaj, aby popełnić nowe zbrodnie. Na mój tasak Tnijmęso, symbol mej władzy i niegodziwości, skazuję cię na Karę Płomiennego Boga!

Tłum zawył radośnie. Melnibonéanin przypomniał sobie legendę dotyczącą Nadsokoru. Mówiła ona, iż dotknięci plagą mieszkańcy miasta wezwali Władców Chaosu prosząc ich, aby oczyścili twierdzę za pomocą wszelkich środków, choćby nawet ognia. Chaos zadrwił sobie z nich okrutnie, wysłał bowiem Płomiennego Boga, który wszystko spalił. Mieszkańcy wezwali wtedy na pomoc Prawo i Płomienny Bóg został uwięziony w mieście przez Donblasa. Ci, co ocalili i mieli dosyć magii, uciekli z Nadsokor. Ale czy Płomienny Bóg naprawdę był jeszcze teraz w Mieście Żebraków?

Z dala dotarł do niego głos Urisha.

— Zrzućcie go do labiryntu!

Wtedy odezwał się Theleb K'aarn. Elryk nie zrozumiał jego wypowiedzi, jednakże dotarły do niego słowa Urisha.

— Jego miecz? Jak mógłby obronić go przed Panem Chaosu? Poza tym, gdybyśmy wyjęli go z pochwy, nie wiadomo, co by się stało.

Czarownik musiał podporządkować się Urishowi.

— Upiory, uwolnijcie go! — powiedział władczo. — Jego siły są waszą zapłatą! Odejdźcie teraz!

Melnibonéanin upadł na zabłoconą podłogę. Nie miał siły na wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Natychmiast chwycili go żebracy. Gdy wynoszono go z sali, zamknął oczy i stracił przytomność. Słyszał jeszcze triumfujące głosy Króla Żebraków i zaklinacza z Pan Tang.

Rozdział 4

PŁOMIENNY BÓG

— Na łajno Narijhana, on jest zimny! Zachrypnięty głos żebraka dotarł do świadomości Elryka. Wciąż był bez sił, ale ciepło z ciał tragarzy rozeszło się powoli po jego kościach.

— Oto wejście.

Z trudem otworzył powieki i dostrzegł to, co znajdowało się przed nim. To świeciło. Wyglądało jak zwierzęca skóra rozciągnięta w tunelu. Żebracy rozbujali go i rzucili na tę skórę. Była lepka. Kleiła się do niego. Miał wrażenie, że go wciąga. Starał się uwolnić, ale był zbyt słaby. Po wielu minutach udało mu się wydobyć z niej. Padł wtedy na posadzkę, ciężko dysząc w ciemnościach. Domyślił się, iż znajduje się w labiryncie, o którym mówił Urish.

Drżąc, postarał się podnieść podpierając mieczem. Udało mu się jedynie usiąść przy ścianie. Był zaskoczony — kamienie wydzielały ciepło. A może po prostu wydawały się ciepłe w porównaniu do mrozu, jaki odczuwał?

Te proste rozmyślenia zmęczyły go. Ciepło, z jakiegokolwiek źródła pochodziło, było dla niego dobrodziejstwem. Przycisnął plecy do ściany, aby bardziej z niego skorzystać. Poczul stan podobny do ekstazy. Zaczerpnął głęboko powietrza. Powoli powracały mu siły.

— Bogowie — szepnął. — Nawet stopy Lormyru nie są tak lodowate. . .

Zaczął kaszleć. Zrozumiał, że lekarstwo, które połknął, już nie działało. Wytarł wargi wierzchem dłoni i splunął. Wydawało mu się, iż smród Nadsokoru zagnieździł się w jego nozdrzach.

Zataczając się powrócił do wejścia. Dziwna skóra wciąż błyszczała rozciągnięta w poprzek tunelu. Wyciągnął rękę i nacisnął ją. Ustąpiła trochę pod jego dotykiem. Ruszył więc do przodu, ale tym razem zatrzymała go. Podobna była do membrany. Elryk wiedział, że nie jest żywa, że to materia, której Władcy Prawa użyli, aby zamknąć w tunelu swojego wroga, Władcę Chaosu. Była tu jedynym źródłem światła.

— Na Ariocho! Królu Żebraków, niedługo zamienimy się rolami! — Zrzucił

łachmany i chwycił miecz runiczny. Wielkie ostrze zaczęło mruczeć jak kot. Wyjął je z pochwy i poczuł, jak poprzez ramię wpływa do jego ciała siła. Zwiastun Burzy przekazywał mu moc, jednak Elryk wiedział, iż niedługo będzie musiał zapłacić mu za to duszami i krwią. Musiał uzupełnić energię miecza.

— Pokroję tę zaporę na plasterki i wydam Nadsokor na pastwę Płomiennego Boga! Uderzaj bez wahania, mój Czarny Mieczu! Niech płomienie zniszczą to siedlisko glist!

Uderzył w membranę, ale nie ustąpiła. Zwiastun Burzy zaczął żałośnie wyć. Nie pozostawił śladu na dziwnej substancji blokującej tunel.

— To zostało zrobione w ten sposób, by powstrzymać ataki Chaosu — powiedział do siebie. — Mój miecz nic tutaj nie poradzi. Skoro nie mogę się cofnąć, muszę iść do przodu.

Z mieczem w dłoni ruszył wzdłuż tunelu. Chciał wyjąć krzesiwo i hubkę z torby, aby oświetlić sobie drogę, ale żebracy go okradli. Postanowił więc wycofać się, lecz był już zbyt głęboko w labiryncie i nie wiedział, czy odnajdzie drogę powrotną.

— Nie ma wyjścia, Płomiennego Boga jak na razie też nie ma. . . Być może są tu inne drzwi. Jeśli okażą się drewniane, to Zwiastun Burzy upora się z nimi bez większych problemów.

Ruszył dalej. Zanim znów się zatrzymał, chyba z tysiąc razy skręcił w ciemnościach. Zdał sobie sprawę z faktu, iż stawało się coraz cieplej. Skwar był prawie nie do wytrzymania. Cały oblał się potem. Zdjął kamizelkę pozostawiając na sobie tylko cienką koszulę. Wyszło mu w gardle. Po przejściu kolejnego kawałka labiryntu zobaczył światło. Nie było to jednak ani światło dnia, ani światło membrany. Był to blask ognia.

Ściany tunelu stały się teraz dobrze widoczne. Kamienne płyty nie były tak brudne jak w Nadsokorze. Błyszczały w czerwonym świetle. Źródło tego światła znajdowało się tuż za zakrętem. Było tak gorąco, że koszula zaczęła go parzyć.

— Aaach!

Kiedy minął zakręt, zobaczył wielki płomień. Jakiś głos wypełnił tunel.

— Nareszcie!

To płomień mówił. Elryk zrozumiał, iż stoi przed Płomiennym Bogiem.

— Nie musimy się kłócić, Władco Chaosu — powiedział albinos. — Ja też służę Chaosowi.

— Ale ja muszę jeść! — odparł płomienny głos. — Checkalakh musi jeść!

— Byłbym dla ciebie zbyt skromnym kąskiem — odparł rozsądnie Elryk, mocniej ściskając Zwiastuna Burzy i cofając się o dwa kroki.

— Jesteś jaki jesteś, żebraku! A mnie nie dają nic innego do jedzenia!

— Nie jestem żebrakiem!

— Żebrak czy nie, Checkalakh i tak cię pożre!

Płomienie przybrały, stworzoną z ognia, ludzką postać. Gdy jej ręce wyciągnęły się ku Elrykowi, ten zaczął uciekać. Płomienny Bóg rzucił się za nim jak snop ognia. Albinos poczuł ból na plecach i zapach płonącej koszuli. Zaczaj biec jeszcze szybciej, sam nie wiedząc dokąd. Płomienny Bóg wciąż był tuż za nim.

— Zatrzymaj się, śmiertelniku! Próżna jest twa ucieczka! Nie umkniesz Checkalakhowi z Chaosu!

Z wisielczym humorem Elryk odkrzyknął:

— Nie chcę skończyć jako pieczona świnia! Nawet jako śniadanie dla boga!

Checkalakh odpowiedział mu głosem podobnym do trzasku ognia w kominku.

— Nie obrażaj mnie śmiertelniku! To zaszczyt być pożartym przez boga!

Gorąco i bieg wyczerpały Elryka. Gdy zobaczył boga, przyszedł mu do głowy pewien plan. Dlatego też zaczął biec pozornie bez celu. Ale Checkalakh zbliżał się coraz bardziej, więc albinos musiał się odwrócić.

— Jesteś bardzo słaby jak na boga — powiedział ciężko dysząc i uniósł miecz.

— Długi pobyt tutaj osłabił mnie! W przeciwnym wypadku już dawno bym cię złapał! Ale i tak to zrobię! Muszę cię pożreć!

Zwiastun Burzy spadł zniechęcony na głowę osłabionego Boga. Prawy policzek Władcy Chaosu zbladł i coś przelało się poprzez czarne ostrze do serca Elryka, który zadrżał z radości. Trochę sił witalnych Płomiennego Boga wpłynęło do jego organizmu.

Ogniste oczy spojrzały najpierw na czarny miecz, a potem na Elryka. Checkalakh zmarszczył brwi i stanął wahając się.

— Faktycznie, nie jesteś zwykłym żebrakiem.

— Jestem Elryk z Melniboné. Noszę Czarny Miecz, a Arioeh jest moim panem. Jest on o wiele potężniejszy od ciebie.

— Jest wielu ode mnie silniejszych — powiedział bóg ze smutkiem.

Elryk otarł pot z czoła i desperacko złapał oddech.

— Więc dlaczego nie mielibyśmy się zjednoczyć? Razem zniszczymy zaporę i zemścimy się na tych, którzy nas uwięzili.

Checkalakh potrząsnął głową.

— Zapora zniknie dopiero po mojej śmierci. Tak postanowił Władca Prawa Donblas, który skazał mnie na pobyt tutaj. Muszę więc walczyć z tobą, potężny śmiertelniku, i pożreć cię.

Elryk znów zaczął uciekać. Wiedział, że gdyby nawet udało mu się pokonać Płomiennego Boga to i tak nie odnalazłby w ciemnościach wyjścia z labiryntu. Nagle zobaczył, że jest tuż przed zaporą.

— Można wejść do mojego więzienia — powiedział ucieszony Checkalakh — ale nie można z niego wyjść!

— Wiem! — odparł Elryk odwracając się i przygotowując do walki z ognistym stworem.

Odpierając ciosy Płomiennego Boga zaczął odczuwać sympatię do swojego przeciwnika. Stworzenie to przybyło na wezwanie ludzi i, zamiast mu podziękować, uwięziono je.

Ubranie Elryka już prawie całkowicie spłonęło. Zaczynał się smażyć. Otrzymywał coraz to większe ilości energii, które Zwiastun Burzy przekazywał mu po każdym ciosie. Już nawet się nie pocił. Wielkie pęcherze utworzyły się na jego rękach. Miał kłopoty z utrzymaniem rozpalonego miecza.

— Ariochu! — krzyknął. — Pomóż mi pokonać to stworzenie z Chaosu!

Ale Arioch nie zjawił się, bowiem ważniejsze rzeczy działy się ponad Ziemią. Elryk wiedział o tym, jednak z przyzwyczajenia szeptał imię Ariocha i ciął po rękach Checkalakha. Czuł teraz jedynie ból i cofnął się chwiejnie aż do zapory. Oparł się o nią plecami. Jego długie włosy zaczęły się tlić.

Na szczęście Płomienny Bóg słabł. Płomienie świeciły coraz słabiej, a wyraz rezygnacji rysował się na jego twarzy. Elryk wykorzystał te cierpienia jako źródło siły i ciął Płomiennego Boga prosto w głowę.

Kiedy ostrze zagłębiło się w ciele, płomienie zgasły. Elryk krzyczał, bowiem olbrzymia fala energii wlała się w jego duszę. Upadł wypuszczając Zwiastuna Burzy. Jego ciało nie mogło pomieścić takiej ilości energii. Turłał się więc po ziemi jęcząc, nogi kopały ściany. Wydawało mu się, że cała krew wyparowała z jego żył.

— Uwolnij mnie od tego, Ariochu!

Pełen był energii Boga, której ciało śmiertelnika nie mogło pomieścić. Nagle zobaczył tuż nad sobą piękną i spokojną twarz.

— Skończone. Już po wszystkim — powiedział czysty i łagodny głos. Mimo że istota nie wykonała żadnego ruchu, przestał cierpieć.

— Wiele wieków temu — ciągnął głos — ja, Donblas, Strażnik Sprawiedliwości, przybyłem do Nadsokoru. Nie mogłem się zbyt mieszzać w wewnętrzne sprawy ludzi, bowiem Prawo uważa, iż są oni sami odpowiedzialni za swój los. Ale teraz Równowaga Kosmiczna uległa zachwianiu i straszliwe siły działają na Ziemi. Jesteś, Elryku, sługą Chaosu, lecz wielokrotnie działałeś na rzecz Prawa. Złamałem więc swoje zasady i przyszedłem ci pomóc.

Wtedy Elryk zamknął oczy i po raz pierwszy w życiu poczuł spokój. Cierpienie ustało, nadal wypełniała go olbrzymia energia. Kiedy otworzył oczy, nie było już Donblasa ani zapory. Albinos podniósł Zwiastuna Burzy, włożył go do pochwy. Zobaczył, że oparzenia zniknęły, a jego ubranie pozostało nietknięte. Czyżby to wszystko mu się śniło?

Potrząsnął głową. Był wolny i silny. Teraz mógł rozprawić się z Królem Uri-shem i Theleb K'aarnem. Nagle usłyszał dochodzący z zewnątrz odgłos kroków. Przez szpary pomiędzy kamieniami dobiegało trochę światła, dlatego od razu rozpoznał wchodzącego.

— Moonglum!

Człowiek ze wschodu uśmiechnął się z ulgą i schował swoje dwa miecze.

— Przyszedłem pomóc ci, ale widzę, że już tego nie potrzebujesz!

— Już nie. Zabiłem Płomiennego Boga. Opowiem ci o tym później. A co się działo z tobą?

— Kiedy zrozumiałem, że wpadliśmy w pułapkę, pomyślałem, iż będzie lepiej, jak jeden z nas pozostanie wolny. Oni chcieli ciebie. Schowałem się więc w górze śmieci w sali koronacyjnej Urisha. Wszystko słyszałem i kiedy tylko stało się to możliwe, przybiegłem tutaj.

— Coś jeszcze?

— Tak. Urish też słyszał o karawanie powracającej do Tanelorn. On nienawidzi tego miasta. Chyba dlatego, że jest tym wszystkim, czym nie jest Nadsokor.

— I ma zamiar zaatakować karawanę Rackhira?

— Tak, a Theleb K'aarn ma wezwać jakieś stworzenia, aby mu pomóc. Rackhir chyba nie może odwołać się do magii...

— Służył kiedyś Chaosowi, ale ci co żyją w Tanelorn nie mają nadludzkich panów.

— To samo wywnioskowałem z ich rozmowy.

— Kiedy zaatakują?

— Wyjechali, kiedy tylko skończyli z tobą. Urish jest niecierpliwy.

— Bezpośredni atak na karawanę nie leży w zwyczaju żebraków.

— Oni mają ze sobą potężnego czarownika.

— To prawda — przyznał Elryk marszcząc brwi. — Bez Pierścienia Królów moja moc jest ograniczona. On pozwala rozpoznać mnie jako człowieka z królewskiej rodziny Melniboné. Tej, która zawarła tyle układów z żywiołami. Muszę odnaleźć swój pierścień. Tylko wtedy będziemy mogli pomóc Rackhirowi.

— Mówili coś o Skarbie Urisha. Na sali jest tylko kilku uzbrojonych ludzi.

Elryk uśmiechnął się.

— Jestem gotów. Mam w sobie jeszcze moc Płomiennego Boga. Myślę, że moglibyśmy pokonać teraz całą armię.

Twarz jego towarzysza ożywiła się.

— Chodźmy więc. Tędy dojdziemy do drzwi przy tronie.

Tak też zrobili. Melnibonéanin nie tracąc czasu rozbił mieczem zasuwę. Po wejściu do sali zatrzymał się. Była oświetlona dziennym światłem. Nie dostrzegli ani jednego żebraka. Za to na tronie Urisha siedziała gruba, łuskowata, zielono-żółto-czarna rzecz. Z jej strasznej, uśmiechniętej mordy ściekała brązowa flegma. Stworzenie podniosło jedną ze swoich licznych łap, parodiując znak powitania.

— Dzień dobry — powiedziała niewinnym głosem. — Jestem strażnikiem Skarbu Urisha.

— Demon z piekła rodem, wezwany przez Theleb K'aarna — stwierdził książę. — Musiał naprawdę wiele ćwiczyć, aby równie okropne potwory słuchały się go.

Marszcząc czoło albinos chwycił Zwiastuna Burzy i z niejakim zdziwieniem sprawdził, że runiczne ostrze wcale nie było spragnione.

— Ostrzegam cię — syknął demon. — Żaden miecz nie może mnie zabić, nawet ten. Takie są moje właściwości.

— O czym on mówi? — szepnął, nie spuszczać demona z oczu, Moonglum.

— Należy do najpotężniejszych demonów. To strażnik. Zaatakuje tylko wtedy, gdy my zaczniemy. Jest chroniony przed wielkimi mieczami. Jeśli na niego ruszymy, wszystkie siły piekielne przyjdą mu w razie czego na pomoc.

— Ale właśnie dopiero co pokonałeś boga! Kim jest przy nim zwykły demon?

— Słabego boga — przypomniał Elryk. — A ten demon jest bardzo potężny. Reprezentuje wszystkich, którzy zjawiliby się tutaj, aby dotrzymać układu o straży. Jeśli chcemy pomóc Rackhirowi, to nie mamy teraz czasu na bawienie się w magików, by go pokonać.

Albinos odwrócił się ku tronowi i z drwiną w głosie powiedział:

— Żegnaj, potworze! Oby twój pan nigdy cię nie uwolnił. Zgnijesz siedząc tutaj do końca świata!

Rozzłoszczony demon odpowiedział:

— Moim panem jest Theleb K'aarn. Jeden z najpotężniejszych czarowników spośród twego gatunku.

Elryk potrząsnął głową.

— Nie z mojego gatunku. Niedługo go zniszczę, a ty zostaniesz tutaj, dopóki nie wymyślę sposobu, jak się ciebie pozbyć.

Dwaj towarzysze opuścili bez dalszej zwłoki salę tronową. Gdy wyszli na zewnątrz, zachciało się im wymiotować od smrodu. Lek księcia zniknął wraz z jego torbą, więc nie mogli obronić się przed tymi „rozkoszными zapachami”. Moonglum splunął, po czym spojrział przed siebie i wyjął z pochew oba miecze.

— Elryku!

Dziesiątki żebraków uzbrojonych w siekiery, noże i kije biegło ku nim.

— Idzie zakąska dla ciebie, Zwiastunie Burzy! Melnibonéanin wyjął miecz i ruszył na żebraków wywijając nim nad głowę. Dwóch spośród nich zrozumiało i cofnęło się, ale reszta ciągnęła dalej na dwóch towarzyszy. Zanim pierwsze krople krwi spadły na ziemię, Elryk uciął jedną głowę i ramię. Moonglum zmierzył się jednocześnie z dwoma żebrakami. Tymczasem Zwiastun Burzy rozprawiał się z przeciwnikami w szybszym tempie, niż można było liczyć kolejne trupy. W chwili gdy Moonglum skończył walkę przebijając jednocześnie swoimi mieczami serca obu przeciwników, trzech ocalałych napastników rzuciło się do ucieczki.

Albinos schował Zwiastuna Burzy, rozejrzał się po stosie zakrwawionych i pociętych ciał i oblizał wargi jak po dobrym jedzeniu. Zobaczył, że jego towarzysz zadrżał, więc powiedział do niego spokojnie:

— A teraz czas pomóc Rackhirowi!

Idąc za przyjacielem, Moonglum rozmyślał nad tym, że Elryk wchłonął dzisiaj nie tylko siłę Płomiennego Boga. Był teraz równie bezlitosny co Władcy Chaosu. Był prawdziwym wojownikiem ze starego Melniboné.

Rozdział 5

ELENOIDY I GRAHLUKI

Żebracy byli zbyt zajęci świętowaniem śmierci albinosa i przygotowaniem do napadu na karawanę, aby poszukać koni należących do Elryka i Moongluma. Dwaj towarzysze znaleźli rumaki w miejscu, w którym je zostawili. Wspaniałe ogiery spokojnie skubały trawę, jakby czekały na nich zaledwie kilka chwil. Przyjaciele ruszyli na północny wschód tam, gdzie spodziewali się dogonić karawanę.

Zobaczyli ją po południu. Szeroką doliną posuwał się długi wąż wozów, a dookoła rozlokowana była armia króla Urisha z Nadsokoru. Elryk i Moonglum wjechali na wzgórze i obserwowali przebieg wydarzeń. Po chwili ujrzeli na wprost siebie Urisha i Theleb K'aarna. Czarownik podnosił ramiona ku niebu. Elryk zrozumiał, że plama ciemniejąca na niebie przyciągnęła jego wzrok. Był też Rackhir, Czerwony Łucznik. Rozpoznał kilku innych spośród otaczających Rackhira postaci: jasnowłosego Bruta z Lashmaru, pod którego ciężarem ugiął się koń; Carkana, który żył kiedyś w Pan Tang, ale teraz nosił pelerynę w kratę oraz futrzany kołpak — strój barbarzyńców z Ilmioryjskiego Południa. Rackhir pochodził z rodzinnych stron Moongluma, z Pustyni Łez. Był kapłanem-wojownikiem, ale wszyscy jego ludzie i on sam wyrzekli się swoich bogów, aby zamieszkać w Tanelorn. Do tego miasta nawet najpotężniejsi bogowie nie mogli wchodzić. Wieczne Miasto istniało dłużej niż ludzie i z pewnością będzie istnieć dłużej niż sama Ziemia.

Nie zdając sobie sprawy z obecności Theleb K'aarna, Rackhir nie przejmował się bandą brudnych żebraków.

— Aby dotrzeć do Rackhira, musimy przebić się przez ich oddziały — uważał Moonglum.

Elryk przytaknął, uważnie przyglądając się gestom czarownika. Starął się zgadnąć, jakiego rodzaju istoty tamten sprowadził. Po chwili krzyknął, spiął konia ostrogami i ruszył w dół galopem. Moonglum, prawie tak zaskoczony jak żebracy, ruszył za nim torując sobie za pomocą mieczy drogę przez tłum obwiesiów.

Widział przed sobą czarne światło emanujące z miecza runicznego. Droga Elryka znaczone była poobcinanymi członkami, głowami o twarzach zastygłych w przeżeniu i rozprutymi wnętrznościami. Kopyta konia Elhweryjczyka ślizgały się w tej lepkiej mieszance, jednak jego pan dalej go popędzał, obawiał się bowiem, że zostanie oddzielony od bladego demona przez bandę żebraków.

W końcu dotarli do kolumny. Ktoś wykrzyknął imię Elryka. Wołał ubrany od stóp do głów w szkarłat Rackhir. Trzymał czerwony łuk, a czerwony kołczan zwisał mu z pleców. Rysy jego twarzy były ostre, ale nie miały w sobie nic ascetycznego. Walczył u boku Elryka jeszcze przed upadkiem Imrryru i razem odkryli Czarne Miecze. Potem Rackhir wyruszył na poszukiwanie Tanelorn i wreszcie je odnalazł.

Od tego czasu Elryk go nie widział. W oczach łucznika widoczny był spokój, którego mu tak zazdrościł. Dawny kapłan-wojownik i sługa Chaosu był już lojalny tylko wobec swojego równie spokojnego Tanelorn.

— Elryku! Czy przybyłeś przegonić Urisha i jego bandę tam, skąd przyszli? — wybuchnął śmiechem, wyraźnie zadowolony ze spotkania starego przyjaciela.

— I Moonglum! Kiedy się odnaleźliście? Nie widziałem was od czasu. . .

Elhweryjczyk uśmiechnął się.

— Wiele rzeczy wydarzyło się w międzyczasie.

— Tak. Ktoś powiedział. . .

Elryk zeskoczył z siodła.

— Nie czas na wspomnienia, Rackhirze. Grozi wam większe niebezpieczeństwo, niż myślisz.

— Co?! Od kiedy mamy się obawiać tej zgrai z Nadsokoru? Spójrz, jak nędznie są uzbrojeni!

— Ale jest z nimi Theleb K'aarn, czarownik z Pan Tang. Widzisz go? O tam, na wzgórzu.

Rackhir zmarszczył brwi.

— Magia. . . Wiesz, że nie zajmuję się nią od dłuższego czasu. . . Potężny jest ten twój czarownik?

— Jeden z największych w Pan Tang.

— A ci z Pan Tang są prawie tak dobrzy jak Melnibonéanie, nieprawdaż Elryku?

— Obawiam się, że już są lepsi, bo Urish ukraść mi Actoriosa.

— W takim razie będziemy musieli bronić się tak, jak umiemy.

— Gdybyś uwolnił konie i dał po jednym każdemu z ludzi, to może zdążylibyście uciec, zanim Theleb K'aarn wezwie jakiegoś. . .

Podjechał do nich Brut z Lashmaru. Olbrzym uśmiechnął się do Elryka. Brut był bohaterem, ale popadł w niełaskę u swojego władcy.

— Tanelorn potrzebuje zapasów, które wieziemy — stwierdził.

— Spójrz — powiedział spokojnie Moonglum.

Na wzgórzu, gdzie stał Theleb K'aarn, ukazała się właśnie czerwona chmura, i rosła coraz większa.

— Udało mu się — warknął Rackhir. — Brut! Wszyscy na koń! Nie mamy czasu na przygotowanie obrony, ale przynajmniej będziemy jako tako gotowi do walki, gdy zaatakują.

Brut szybko wydawał rozkazy ludziom. W pośpiechu wyprzęgano konie. Czarna chmura zaczęła się rozpraszać. Za nią ukazały się jakieś postacie. Elryk starał się je rozpoznać, lecz były za daleko. Wsiadł z powrotem na konia. Jeźdźcy z Tanelorn podzielili się na małe grupki skierowane prosto na chmary żebraków tak, aby wydostać się z oblężenia. Rackhir pożegnał się z Elrykiem i dołączył do swoich ludzi. Melnibonéanin i Moonglum znaleźli się na czele dziesięciu wojowników uzbrojonych w piki, topory i lance.

Usłyszeli chrapliwy głos Urisha.

— Do ataku, moi żebracy! Skończcie z nimi!

Nędzna tłuszcza zaczęła zbiegać ze wzgórz. Rackhir dał znak mieczem i pierwsze grupki jeźdźców ruszyły do ataku. Potem odłożył miecz i chwycił za łuk. Nie zsiadając z konia wypuszczał strzałę po strzale.

Krzyki rozległy się ze wszystkich stron, gdzie jeźdźcy z Tanelorn tratowali żebraków. Elryk zobaczył kraciastą pelerynę Carkana w młynie kijów, noży i łachmanów. Niedaleko od niego siał śmierć Brut.

— Wojownicy z Tanelorn zaraz wybiją do nogi tych głupców — powiedział Moonglum.

Elryk z zaszepioną miną wskazał na wzgórze.

— Ale już są gotowi następni przeciwnicy.

— Ależ to są kobiety! — krzyknął Moonglum.

Elryk wyjął Zwiastuna Burzy z pochwy.

— Nie. To są Elenoiny. Przybyły z Ósmego Poziomu i nie są ludźmi. Sam zresztą zobaczysz.

— Znasz je?

— Moi przodkowie walczyli kiedyś przeciwko nim.

Ostre i dziwne wycie dotarło do ich uszu. Rozległo się od zbocza wzgórza. Theleb K'aarn stał tam jeszcze, ale to stworzenia o wyglądzie kobiet krzyczały. Czerwone włosy sięgały im do kolan. Były zupełnie nagie. Tańcząc skierowały się ku karawanie. Jednocześnie nad głowami kręciły mieczami o długości ponad pięciu stóp.

— Theleb K'aarn jest bardzo sprytny — powiedział Elryk. — Wojownicy z Tanelorn będą się wahać przed zabiciem kobiet. A Elenoiny z tego skorzystają i wymordują ich.

Rackhir zobaczył Elenoiny i rozpoznał je.

— Nie dajcie się oszukać! — krzyczał. — To nie są kobiety! To demony!

Spojrzał na Elryka z rezygnacją. Znał moc Elenoin. Spiał rumaka ostrogami i zbliżył się do albinosa.

— Elryku, co możemy zrobić?

— Cóż mogą śmiertelnicy wobec Elenoin? — westchnął Elryk.

— Nie znasz odpowiedniego zaklęcia?

— Przy pomocy Pierścienia Królów może mógłbym wezwać Grahluksi. Są to starzy wrogowie Elenoin. Theleb K'aarn już otworzył drogę do ósmego Poziomu.

— Nie możesz spróbować? — spytał Rackhir błagalnym tonem.

— Jeśli to uczynię, mój miecz nie będzie ci mógł pomóc. A myślę, że będzie teraz pożyteczniejszy od wszystkich zaklęć.

Wzruszywszy ramionami Rackhir powrócił do swych ludzi. Wiedział już, że wszyscy zginą. Zebracy cofnęli się równie przerażeni Elenoinami co ludzie z Tanelorn. Demony dotarły właśnie do dna doliny nie przerywając śpiewu. Opuściły swoje miecze uśmiechając się.

— Jak mogą?... — zaczął Moonglum, po czym zobaczył ich olbrzymie, zwierzęce, pomarańczowe oczy. — Na bogów! — syknął. Potem zobaczył ich zęby, błyszczące kły.

Jeźdźcy z Tanelorn cofali się w bezładzie ku wozom. Na ich twarzach malowała się rozpacz i zwątpienie. Natomiast Elryka opanowała posępna furia. Przyglądał się wściekłym wzrokiem kobietom-demonom.

Ostry śpiew był teraz tak intensywny, iż wojownikom wydawało się, że pękają im czaszki. Elenoiny patrzyły na ludzi szalonymi, złośliwymi oczami.

Wtedy Carkan z Pan Tang wydał swój okrzyk bojowy i ruszył na nie.

— Precz! Wracajcie z powrotem do piekła!

Elenoiny zawyły radośnie. Carkan znalazł się nagle w środku sieczkarni złożonej z dziesiątek cienkich i ostrych mieczy. Po chwili, zarówno z niego jak i z jego wierzchowca, pozostały tylko krwawe kawałki mięsa. Kilka demonów zaczęło jeść jeszcze ciepłe ciało śmiejąc się dziko.

Okrzyk nienawiści i strachu przebiegł przez szeregi ludzi z Tanelorn. Na wpół przytomni z wściekłości i przerażenia wojownicy ruszyli z krzykiem ku Elenoinom, które zaczęły śmiać się jeszcze głośniej.

Elryk usłyszał pomruk wyczuwającego bitwę Zwiastuna Burzy, ale nie poruszył się. Nieruchomy obserwował scenę. Wiedział, że demony szybko rozprawią się z wszystkimi.

Moonglum jęknął:

— Elryku! Musi istnieć jakieś zaklęcie przeciwko nim!

— Istnieje. Ale nie mogę wezwać Grahluków! To niemożliwe! — Jego pierś podnosiła się nieregularnie. Cały kipiał w środku.

— Na miłość do Tanelorn, spróbuj!

Wtedy Melnibonéanin ruszył do przodu. Zwiastun Burzy zawył w jego dłoni. Albinos szarżował wykrzykując imię Ariocha, jak to robili jego przodkowie za

czasów założenia Imrryr.

— Arioch! Arioch! Krew i dusze dla mojego pana, Ariocha!

Odparował ostrze demona i na chwilę spojrzął w oczy Elenoiny. Przebiegł go dreszcz. Potem uderzył, ale stworzenie odbiło ręką jego cios. Ostrze zaplątało się we włosach demona. Przeciął je szybko i znów uderzył, lecz Elenoina zdążyła uskoczyć. Jej kolejny cios wyrzucił go z siodła. Elryk wstał błyskawicznie i oburącz chwycił Czarny Miecz. Odparł kolejny atak i rzucił się do przodu wbijając ostrze w miękki brzuch piekielnego stworzenia. Elenoina krzyknęła z wściekłością i zielonkawa ciecz zaczęła wypływać z jej rany. Upadła na ziemię. Elryk kolejnym ciosem obciął jej głowę, która potoczyła się smagając go włosami po twarzy. Albinos złapał ją szybko i pobiegł ku wzgórzu, gdzie stali żebracy Urisha. Zebrali się tam, by lepiej widzieć klęskę rycerzy z Tanelorn.

Gdy zbliżył się do nich, zaczęli uciekać, ale Zwiastun Burzy zdążył ciąć jednego z nich w plecy. Melnibonéanin zarzucił sobie na plecy żyjącego jeszcze człowieka i wrócił do wozów. Tymczasem wojownicy z Tanelorn walczyli dzielnie, choć już połowa spośród nich leżała na ziemi pokrojona przez Elenoiny. Jednak, co było dużo ważniejsze, poległo też kilka stworzeń z Piekła.

Elryk zobaczył Moongluma, który walczył swoimi oboma mieczami, i Rackhira, który w ferworze walki nie zapomniał o wydawaniu rozkazów. Dostrzegł też Bruta z Lashmaru, który jeszcze ciągle bił się. Jednak nie zatrzymując się książę dobiegł do najbliższego wozu i tam położył swoje krwawe zdobycze. Jednym ciosem miecza otworzył brzuch żebraka, dobijając go w ten sposób, i umoczył włosy Elenoiny w krwi.

Potem wstał i trzymając zakrwawioną głowę demona w jednej ręce, a Zwiastuna Burzy w drugiej, odwrócił się twarzą ku wschodowi. Zaczął mówić w Szlachetnej Mowie Starego Melniboné.

Przypomniał sobie zdanie ze starej księgi swojego ojca: *Włosy Elenoiny umoczone we krwi wroga przyciągną wrogów Elenoin — Grahluków.*

Zaczął śpiewać.

*Niech przybędą Grahluki, niech Grahluki uderzą!
Niech przybędą, aby pokonać starych wrogów!
Niech nadejdzie nareszcie dzień ich zwycięstwa!*

Siła uzyskana od Płomiennego Boga szybko opuszczała jego ciało. Dużo energii zużywało samo zaklęcie. I bez wątpienia niepotrzebnie pozbawiał się resztek mocy — nie miał Pierścienia Królów. Powtórzył jeszcze kilka razy zaklęcie. Było co prawda mało skomplikowane, ale za to bardzo wyczerpujące.

— *Grahluki! Zaklinam was! Nadszedł czas waszej zemsty!*

Podobno wiele cykli temu Elenoiny wypędziły Grahluków z ich terenu na Ósmym Poziomie. Od tego czasu Grahluki czekały tylko na okazję zemsty.

Powietrze wokół Elryka zaczęło drżeć. Najpierw stało się szare, potem zielone, a w końcu czarne.

— *Grahluki! Przybądźcie zniszczyć Elenoiny! Przejście jest otwarte!*

Głos Elryka słabł. Wtedy ziemia zaczęła się trząść i dziwny wiatr zadął w zakrwawione włosy Elenoiny. Powietrze zgęstniało i księżę padł na kolana. Nie przestał jednak wypowiadać słów zaklęcia.

Rozległ się ryk, a potem warczenie. Przybyły Grahluki — stworzenia podobne do małp, równie zwierzęce i odrażające co Elenoiny. Uzbrojone były w sieci, sznury i tarcze. Po cichu wyszły z fioletowej mgły i patrzyły na klęczącego Elryka. On wskazał na niedobitki wojowników z Tanelorn wciąż odpierających Elenoiny.

— Tam... — wyszeptał.

Grahluki wydały wojenny ryk i ruszyły na Elenoiny. Nagle stworzenia z Piekła zobaczyły swoich wrogów i ich śpiew zamienił się w skowyt. Zaczęły się wycofywać.

Melnibonéanin ostatnimi siłami krzyknął do Rackhira:

— Wycofaj swoich ludzi! Grahluki zajmą teraz ich miejsce!

— Więc nareszcie pomogłeś nam — powiedział Rackhir. Jego strój był w strzępach. A on sam odniósł chyba z dziesięć ran.

Na ich oczach Grahluki rzuciły sieci i lassa na wrzeszczącą horde Elenoin. Miecze Elenoin stały się bezradne przeciwko tarczom. Potwory konały, duszone. Gdy wszystkie zginęły, Grahluki pozbierały ich miecze i zaczęły się rzucać na ostrza.

— Ależ one się zabijają — powiedział Rackhir. — Dlaczego?

— Żyły tylko po to, aby zabić Elenoiny. Skoro już to się stało, nie mają po co dalej żyć.

Elryk o mało co nie upadł. Moonglum z Rackhirem przytrzymali go w ostatniej chwili.

— Spójrzcie! — krzyknął Moonglum. — Żebracy uciekają!

— Theleb K'aarn — szepnął Elryk. — Musimy go złapać...

— Na pewno wróci do Nadsokoru razem z Urishem — stwierdził Elhweryjczyk.

— Muszę... muszę odzyskać Pierścień Królów.

— Wydaje mi się, iż możesz bawić się w czarownika i bez jego pomocy — zauważył Rackhir.

— Naprawdę? — spytał Elryk podnosząc głowę. Czerwony Łucznik mógł tylko spuścić oczy i przytaknąć po cichu.

— Pomożemy ci odzyskać twój pierścień — powiedział w końcu. — Żebracy już nic nam nie zrobią. Pojedziemy z tobą do Nadsokoru.

— Miałem taką nadzieję.

Z pewnym trudem albinos wsiadł na jednego z ocalałych koni. Gdy ruszyli ku Miastu Żebraków, dodał:

- Być może twoje strzały będą skuteczniejsze od mojego miecza...
- Nie rozumiem — odparł Rackhir.
- Wyjaśnimy ci po drodze — powiedział Moonglum.

Rozdział 6

PAN CHAOSU

Wojownicy z Tanelorn jechali przez brudny Nadsokor. Elryk, Moonglum i Rackhir podążali na czele grupy. Nie było jednak ani śladu triumfu w ich postawach. Żaden jeździec nie rozglądał się na boki. Żebracy nie stanowili już żadnego niebezpieczeństwa. Na widok rycerzy pochowali się w najgłębszych zakamarkach.

Dzięki lekowi przygotowanemu przez Rackhira Elryk odzyskał trochę sił. Gdy jechali ku pałacowi Króla Żebraków, siedział wyprostowany w siodle. Nie zatrzymując się, wjechali konno do pogrążonej w półcieniu sali tronowej.

— Theleb K'aarnie! — krzyknął Melnibonéanin.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Dzięki otwarciu drzwi ogień w piecach rozbłysnął jaśniej i wojownicy zobaczyli klęczącą postać. Była odziana w łachmany. Na wpół leżąc przed tronem głośno jęczała i płakała. Błagała tego, który siedział teraz na tronie.

Elryk ruszył do przodu i zobaczył spokojnie rozpartego na dębowym siedzeniu demona. Wydawało się, iż bawią go prośby stworzenia stojącego u jego stóp. Za albinosem wjechali do sali wojownicy z Tanelorn. Zobaczyli, że przed tronem płaszczy się Urish, Król Żebraków. Gdy Urish ujrzał Melnibonéanina, krzyknął i okaleczoną dłonią chwycił swój tasak. Elryk westchnął i powiedział do niego:

— Nie musisz się mnie obawiać, Urishu. Jestem znużony rozlewem krwi. Nie zależy mi na twojej śmierci.

Wtedy demon otworzył oczy.

— Wróciłeś, Książę Elryku... — jego głos jakby uległ drobnej przemianie.

— Tak, a gdzie jest twój pan?

— Obawiam się, że uciekł z Nadsokoru.

— Więc ty musisz tu pozostać na zawsze.

Demon przytaknął.

Urish chwycił albinosa za nogę.

— Pomóż mi. Muszę odzyskać swój skarb... Jest dla mnie wszystkim!
Zniszcz demona, a oddam ci Pierścień Królów.

— Stałeś się nagle bardzo hojny — odparł Elryk z uśmiechem.

Łzy spływały po parszywej twarzy Urisha.

— Błagam cię, Elryku!...

— Właśnie mam zamiar pozbyć się demona.

— A potem? — spytał Urish.

— To już zależy od ludzi z Tanelorn, których starałeś się okraść. Ich przyjaciele zginęli w straszliwy sposób. Zapewne zechcą się zemścić za to.

— To wszystko zrobił Theleb K'aarn... .

— A gdzie on teraz jest?

— Kiedy wysłałeś te stwory o twarzach małp, uciekł. Skierował się ku rzece Ynrkalk... W kierunku Troos.

Nie oglądając się, Elryk powiedział:

— Rackhir, teraz możesz wypróbować swoje strzały.

W tej samej chwili strzała zagłębiła się w torsie demona. Ten spojrzął na nią przelotem i zacerpnął głęboko powietrza. Strzała zniknęła.

— To nigdy nie zadziała! — jęknął Urish.

Druga strzała podzieliła los pierwszej. Tak samo jak i trzecia.

Bełkocząc niezrozumiale, Urish uniósł swój tasak.

— Ostrożnie, królu Urishu! On jest odporny na ciosy mieczy! — krzyknął do niego Elryk.

— To ma być miecz... Zastanawiam się nad tym — roześmiał się demon.

Urish wahał się. Błędnie kręcił oczyma i ślina ciekła mu z ust na szczękę.

— Giń, demonie! Oddaj mi mój skarb!

Rozbawiony demon rozejrzył się.

Urish rzucił się na niego krzycząc, aby dodać sobie odwagi, i wywijając tasakiem. Gdy ostrze uderzyło w głowę potwora, posypały się iskry i tasak rozpadł się na kawałki. Trzęsący się Urish popatrzył na demona. Ten wyciągnął cztery spośród swoich rąk i chwycił go. Szczęki rozchyliły się nagle tak mocno, iż wydał się dwa razy większy. Włożył sobie Króla Żebraków do pyska. Widać było tylko dwie wierzgające nogi. Demon połknął swoją ofiarę i tak zginął Urish z Nadsokoru.

Elryk wzruszył ramionami.

— Działasz bardzo skutecznie — zauważył.

— Ależ tak, mój drogi Elryku — powiedział demon uśmiechając się.

Jego głos wydał się Elrykowi znajomy.

— Nie jesteś zwykłym... — zaczął Melnibonéanin.

— Taką mam nadzieję, kochany śmiertelniku... .

Nagle demon zaczął zmieniać swój kształt. Koń Elryka rżał dziko, przerażony. Rozległo się brzęczenie i ukazał się czarny dym. Gdy rozwiął się, na tronie

siedziała zupełnie inna istota. Miała ludzki kształt i była przepiękna. Była jednocześnie wysublimowana, majestatyczna, obca i absolutna.

— Arioch!

Elryk uklonił się przed Władcą Chaosu.

— Tak. Zająłem miejsce demona podczas twojej nieobecności.

— Ale odmówiłeś mi pomocy. . .

— Jak ci już mówiłem, dzieją się ważniejsze sprawy. Niedługo Chaos zmierzy się z Prawem i być może Donblas zostanie zrzucony na wieczność na Kraniec.

— Wiesz, że Donblas rozmawiał ze mną w labiryncie Płomiennego Boga.

— Oczywiście. Dlatego składałam ci wizytę. Nie zniosę tego, że otrzymałeś pomoc od Donblasa Sprawiedliwego i jego pozbawionych poczucia humoru polepzników. Poczuliem się tym dotknięty. Teraz dowiodłem, że jestem od niego potężniejszy.

Arioch spojrział na Rackhira, Moongluma, Brata i innych, którzy osłaniali sobie oczy nie mogąc znieść widoku jego piękna.

— I wy, wariaci z Tanelorn. . . Może wreszcie zrozumiecie, że lepiej jest służyć Chaosowi. To się opłaca!

— Nie służę ani Chaosowi, ani Prawu! — rzucił Rackhir zaczepnym tonem.

— Niedługo przekonasz się, że neutralność jest najgroźniejsza, renegacie!

— Nie możesz mi nic zrobić! A jeśli Elryk pojedzie z nami do Tanelorn, ucieknie z zasięgu twojej władzy!

— Elryk pochodzi z Melniboné. Tam wszyscy byli sługami Chaosu. . . i zostali za to sownie nagrodzeni. Myślisz, że w jaki sposób demon Theleb K'aaraa został wypędzony z tego tronu?

— W Tanelorn Elryk nie potrzebowałby Pierścienia Królów.

Poirytowany Arioch zaczął rosnąć, lecz czyniąc to rozwiązał się we mgle. Elryk zeskoczył z siodła i wyjął z tronu kufer Króla Żebraków. Rozbił Zwiastunem Burzy wieko i zaczął wyrzucać w błoto złotą biżuterię, drogocenne kamienie i mnę przedmioty szukając pierścienia.

Wreszcie go znalazł i włożył z powrotem na palec. Kiedy wracał ku swoim towarzyszom, jego chód wydawał się pewniejszy. W międzyczasie Moonglum zsiadł z konia i napchał swoją sakwę do pełna biżuterią. Mrugnął do Rackhira, który lekko się uśmiechnął.

— Teraz — powiedział Elryk — muszę pojechać do Troos, aby złapać Theleb K'aarna.

— Pozwól mu zgnić w tym paskudnym lesie — powiedział Moonglum.

Rackhir położył rękę na ramieniu Elryka.

— Jeśli Theleb K'aarn tak ciebie nienawidzi, to sam cię odnajdzie. Po co tracić czas na ściganie go?

Albinos uśmiechnął się.

— Zawsze znajdziesz jakiś argument. Prawdę mówiąc mam dosyć tych wszystkich demonów i bogów, którzy się ze mną zmierzili od czasu, gdy przyjechałem do Nadsokoru.

— Więc odpocznij w Tanelorn. Tam jest spokojnie i nawet bogowie nie mogą bez pozwolenia wejść do miasta.

— Ale złożyłem przysięgę, że Theleb K'aarn zginie. . .

— Zdążysz jeszcze jej dotrzymać.

Elryk przejechał palcami po swoich śnieżnobiałych włosach, a jego przyjacielom wydało się, iż dostrzegli łzy w rubinowych oczach.

— Zgoda — powiedział powoli.

Opuścili więc Nadsokor zostawiając żebraków w brudzie i smrodzie. Nadsokorianie żalowali, że mieli do czynienia z Elrykiem z Melniboné.

Jechali ku wiecznemu miastu Tanelorn, które zawsze oferowało azyl wszystkim zbłąkanym duszom. Wszystkim oprócz jednej.

Pełen rozpacz, żalu i wyrzutów sumienia Elryk z Melniboné modlił się, aby tym razem miasto dało mu ukojenie. . .

KSIĘGA TRZECIA

**TRZECH BOHATERÓW
POŁĄCZONYCH W JEDNOŚĆ**

Elryk, Wieczny Wojownik, mógł sam, bez wysiłku, odnaleźć Tanelorn. I był jedynym, który zdecydował się, je opuścić.

Kronika Czarnej Miecza

Rozdział 1

WIECZNE TANELORN

Podczas swojego wiecznego istnienia Tanelorn przyjmowało wiele form, a wszystkie były równie piękne. Obecnie pełne było pastelowych wież. Chora-gwie powiewające nad dachami nie były znakami wojennymi, bowiem mieszkańcy miasta nie lubili walki. Tanelorn zawsze tu było. Nikt nie wiedział, kiedy zostało zbudowane, ale niektórzy uważali, że jest starsze niż Czas i że będzie trwać jeszcze długo po jego kresie. Dlatego też nazywano je Wiecznym Tanelorn.

Odegrało ono dużą rolę w walkach wielu herosów i bogów, tylko dlatego że było ponadczasowe. Władcy Chaosu nienawidzili go i niejednokrotnie próbowali zniszczyć. Na pomoc od miasta rozciągały się Ilmioryjskie równiny, gdzie ponoć większe wpływy miało Prawo. Na południu znajdowała się Pustynia Westchnień — wietrzne i puste miejsce. Mogła być tylko i wyłącznie odbiciem Chaosu.

Mieszkańcy Tanelorn nie brali udziału w Kosmicznej Walce pomiędzy Władcami Wyższych Światów. W mieście nie było władców ani poddanych. Znali tylko harmonię, mimo iż przed osiedleniem się tutaj byli w większości straszliwymi wojownikami. Jednak jednym z najbardziej był dawny Kapłan-Wojownik, Rackhir. Nadal tak zręczny jak dawniej i zawsze tak samo się ubierał, ale chęć walki opuściła go, gdy zamieszkał w Tanelorn.

Przy murze, w zachodniej części miasta stał dwupiętrowy dom otoczony trawnikiem, na którym rosły niezliczone dzikie kwiaty. Dom był zbudowany z żółtego i różowego marmuru. Miał wielki, spiczasty dach. Była to siedziba Rackhira. W tej chwili Czerwony Łucznik leżał na drewnianej ławce i obserwował swojego gościa, który nerwowo chodził po trawniku. Tym gościem był jego stary przyjaciel — Księżę z Melniboné.

Elryk miał na sobie prostą, białą koszulę i spodnie z gęstego, czarnego jedwabiu. Patrzył szkarłatnymi oczami na trawnik i nie zwracał najmniejszej uwagi na przyjaciela. Rackhir nie miał zamiaru przerwać rozmyślań księcia, chociaż ani trochę mu się one nie podobały. Miał nadzieję, że pobyt w Tanelorn uspokoi albinosa, wygoni duchy i zwątpienie z jego myśli. Niestety nic takiego nie wydarzyło

się. Melnibonéanin był daleki od osiągnięcia spokoju ducha.

W końcu Rackhir zdecydował się przerwać ciszę.

— Jesteś tu już od miesiąca, przyjacielu, ale widzę cię ciągle równie posępniego co zawsze. Nigdy nie odpoczywasz.

Albinos uśmiechnął się.

— Tak. . . Przepraszam cię Rackhirze. Jestem naprawdę okropnym gościem.

— A cóż cię tak bardzo niepokoi?

— Nic szczególnego. Po prostu nie znoszę beczynności. Tylko przemoc może wyrwać mnie z melancholii. Tanelorn nie jest odpowiednim miejscem dla mnie.

— Ale przemoc lub to, co z niej wynika, jeszcze bardziej pogłębia twoją melancholię.

— To prawda. Ciągłe się borykam z tym właśnie dylematem. Od czasu, gdy spłonął Imrryr. A może jeszcze dłużej.

— Ale z tym dylematem boryka się wielu ludzi. Chociaż w nieco mniejszym stopniu.

— Tak. Jaki jest cel życia i co się dzieje, jeśli się go odkryje. . .

— Dla mnie, w Tanelorn, te problemy nie mają racji bytu. Spodziewałem się, że i ty się ich pozbędziesz. Zostaniesz tu z nami?

— Nie mam innych planów. Jeszcze nie zemściłem się na Theleb K'aarnie, ale nie wiem, gdzie on teraz jest. Zresztą ty i Moonglum powtarzacie mi w kółko, że to on mnie zacznie poszukiwać. Pamiętam, iż kiedy dotarłeś po raz pierwszy do Tanelorn, zaproponowałeś mi, abym przyjechał tutaj z Cymoril. . . Szkoda, że cię nie posłuchałem. Byłbym teraz spokojny, a martwa Cymoril nie zatruwałaby moich snów.

— Mówiłeś o tej czarodziejce, która według ciebie jest podobna do Cymoril.

— Myshella, Cesarzowa Świtu? Kiedy ją zobaczyłem, śniła, a gdy ją opuściłem, to ja śniłem. Zjednoczyliśmy się w walce o wspólną sprawę. Już nigdy więcej jej nie zobaczę.

— Ale jeśli ona. . .

— Nigdy więcej, Rackhirze.

— Jak chcesz.

Znowu zapadła cisza. Słysząc było tylko śpiew ptaków. Po chwili, odprowadzany zaniepokojonym spojrzeniem przyjaciela, Elryk wszedł do domu. Kiedy stamtąd wyszedł, miał na sobie szeroki pas i runiczny miecz u boku. Na ramię zarzucił białą, jedwabną pelerynę, a na nogi włożył długie buty.

— Pojadę na Pustynię Westchnień. Zatrzymam się, gdy będę zmęczony jazdą. Być może potrzebuję tylko odrobiny wysiłku.

— Uważaj na pustyni. Jest to ponure i zdradliwe miejsce.

— Będę ostrożny.

— Weź złocistego ogiera. Urodził się na pustyni, a wytrzymałość tych koni jest legendarna.

— Dziękuję. Zobaczymy się jutro rano, albo jeszcze wcześniej.

— Mam nadzieję, że po wycieczce lepiej się poczujesz.

Czerwony Łucznik był niespokojny, gdy jego przyjaciel kierował się ku stajni. Potem usłyszał stukot kopyt i wtedy powoli wstał. Albinos pojechał truchtem do pomocnej bramy, za którą rozciągała się już pustynia. Moonglum wyszedł z domu. Jadł jabłko, a pod pachą trzymał zwinięty manuskrypt.

— Rackhirze, gdzie jedzie Elryk?

— Szukać spokoju na pustyni.

Moonglum zmarszczył brwi.

— Szukał go już w wielu innych miejscach i obawiam się, że tam też go nie znajdzie.

Rackhir przytaknął.

— Ale mam przecucie, że znajdzie coś innego, bowiem rzadko prowadzą go własne chęci. Tyle różnych sił kieruje jego losem.

— Myślisz, że tak jest i teraz?

— Prawdopodobnie.

Rozdział 2

POWRÓT CZARODZIEJKI

Piasek trzeszczał na wietrze, a wydmy ułożyły się miękko, podobne do fal skamieniałego morza. Gdzieś jaśniały matowo skały — resztki gór zerodowanych przez wieki. Piasek, który kiedyś też był tymi skałami, budynkami i kośćmi zwierząt oraz ludzi, skrzypiał zawodząc, jakby żył i z żalością wspominał przeszłość. Elryk założył kaptur peleryny na głowę, aby uchronić się od palącego słońca wiszącego na niebiesko-stalowym niebie.

Być może pewnego dnia, rozmyślał, i ja zaznam spokoju śmierci. Może będę tego żałować.

Wypił kilka łyków wody z jednego z bukłaków, które wziął ze sobą i pocwałował przez pustynię. Wokół niego, jak daleko sięgnąć okiem, nie było ani jednej rośliny, żadnych zwierząt czy ptaków na niebie. Miał przeczucie, że kiedyś znajdzie się sam, bez konia, w jeszcze bardziej pustym świecie. Odrzucił od siebie tę myśl, ale wzburzyła go do tego stopnia, że przestał myśleć o swoim losie. Wiatr ucichł.

Dotknął miecza, bowiem bez zrozumiałych powodów łączył przeczucie, którego doznał, ze Zwiastunem Burzy. Złocisty ogier wjeżdżał na wydmy. Jego kopyta głęboko zagłębiały się w piasku. Elryk przyspieszył, aby szybciej dotrzeć do twardszego podłoża.

Dotarł na szczyt wydmy. Pustynia sięgała aż po horyzont. W oddali widocznych było kilka większych skał. Do tej pory myślał tylko o jeździe bez wytchnienia aż do czasu, gdy padnie pod nim koń i gdy piasek pokryje ich na zawsze. Zdjął kaptur i wytarł pot z czoła.

Dlaczego nie? — pomyślał.

Po co wracać do Tanelorn? Życie było już nie do zniesienia. Pozostawała tylko śmierć. Tylko czy ona go nie odrzuci? Czy był skazany na życie? Często wydawało mu się, że tak właśnie jest.

Potem pomyślał o swoim wierzchowcu. Nie byłoby uczciwie poświęcać go. Powoli zsiadł z siodła. Wiatr zaczął na nowo dąć. Powietrze było gorące. Złoci-

sty ogier zarżał nerwowo. Książę z Melniboné spojrział na północ, ku Krańcowi Świata.

Zaczął maszerować. Koń stał w miejscu nie zwracając. Wkrótce potem Elryk był już daleko. Nie wziął ze sobą ani kropli wody. Słońce paliło go w twarz. Szedł szybkim i regularnym krokiem tak, jakby prowadził całą armię.

Być może naprawdę szła za nim cała armia — armia trupów wszystkich przyjaciół i wrogów, którzy zginęli podczas poszukiwania przez niego sensu życia.

Pozostał jeszcze jeden wróg, gorszy i potężniejszy od Theleb K'aaraa. Wróg, który mieszkał w nim samym, w ciemnej części duszy, a którego symbolizowało czarne ostrze wiszące u jego boku. Kiedy umrze, ten wróg zginie razem z nim, a zła siła opuści świat.

Przez wiele godzin Elryk z Melniboné szedł przez Pustynię Westchnień. Powoli zatracił poczucie swojej osobowości, jakby łączył się w jedno z wiatrem i piaskiem. Nareszcie nawiązywał więź ze światem, który go niegdyś odrzucił. Nadeszła noc, a on dalej wędrował nie zwracając uwagi na chłód. Jego siły zmniejszały się. Cieszył się ze swojej słabości. On, który tyle czasu walczył, aby utrzymać moc przy pomocy Czarnego Miecza, słabł. Koło północy nogi ugięły się pod nim i padł na piasek. Leżał bez ruchu, gdy opuszczała go przytomność.

— Książę Elryku... Panie? — Kobięcy głos był lekko ironiczny, ale rozpoznał go. Nie poruszył się jednak.

— Elryku z Melniboné.

Poczuł rękę na ramieniu; starała się go podnieść. Wolał sam usiąść, niż dać się szarpać. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć głosu z zaschniętych i pełnych piasku ust.

Miała na sobie lekką, niebiesko-złotą suknię. Świtało już i słońce przeświecało przez jej czarne włosy okalające łagodną twarz. Uśmiechała się do niego.

Wypluł piasek i zdołał powiedzieć:

— Jeśli nie żyję to i tak nadal jestem zabawką w rękach duchów i iluzji.

— Nie jestem złudzeniem, tak jak i wszystko, co nas otacza. Nadal żyjesz.

— W każdym bądź razie jesteś daleko od Zamku Kaneloon. Na drugim końcu świata...

— Szukałam cię, Elryku.

— Więc złamałaś swoją przysięgę, Myshello. Obiecałaś mi, że już nigdy się nie spotkamy; ani my, ani nasze losy.

— Wtedy myślałam, że Theleb K'aarn zginął w Płynącym Węźle Ciała... Dlaczego maszerowałaś samotnie po pustyni?

— Szukałem śmierci.

— Nie jest twoim przeznaczeniem umrzeć w ten sposób.

— Tak mi powiedziano, ale nie chcę w to uwierzyć, Myshello. Zaczynam jednak podejrzewać, że to niestety prawda.

Gdy wstał, podała mu kielich, który wyjęła z sakiewki przy pasku sukni. Był po brzegi wypełniony srebrzystą ciecżą.

— Wypij to.

Nie ruszając się powiedział:

— Twój widok nie sprawia mi przyjemności, Myshello.

— Dlaczego? Dlatego, że boisz się mnie kochać?

— Jeśli taka odpowiedź ci schlebia... to tak.

— Wcale mi nie schlebia. Wiesz dobrze, że popełniłam błąd przypominając ci o Cymoril i pozwalając, aby Kaneloon stał się tym, czego najbardziej pragniesz... Zanim zrozumiałam, że tego najbardziej się obawiasz.

— Zamilcz! — rozkazał spuszczać głowę.

— Przykro mi. Proszę cię o wybaczenie, ale czy już jeden raz nie odepchnęliśmy pożądaną i strachu?

Spojrzał jej prosto w oczy.

— Tak, to prawda.

Zaczerpnął głęboko powietrze i wyciągnął rękę ku kielichowi, który podała mu Myshella.

— Czy to jakiś lek, który mnie zniewoli i sprawi, że będę działać tak, jak ty będziesz tego chciała?

— Taki lek nie istnieje. Ten tylko przywróci ci siły. To wszystko.

Wypił srebrzystą ciec i od razu rozjaśniły się jego myśli, a w członkach poczuł nową siłę.

— Czy nadal chcesz umrzeć? — spytała Myshella.

— Jeśli śmierć przyniesie mi spokój...

— Nie da ci go, jeśli teraz umrzesz. Wiem to.

— A jak mnie tutaj odnalazłaś?

— Za pomocą wielu środków i zaklęć. Ale to mój ptak przyniósł mnie tutaj.

Elryk odwrócił się i zobaczył srebrno-złotego ptaka, który swoimi inteligentnymi, szmaragdowymi oczyma wpatrywał się w Myshellę.

— Czy przybyłaś zabrać mnie z powrotem do Tanelorn?

— Jeszcze nie. Przyjechałam powiedzieć ci, gdzie możesz znaleźć swojego starego wroga, Theleb K'aarna.

Uśmiechnął się.

— Czyżby znów ci zagrażał?

— Nie bezpośrednio.

Strzepnął piasek ze swojej peleryny.

— Dobrze cię znam, Myshello. Nigdy byś się ze mną nie spotkała, gdyby nasze losy jakoś nie były połączone... Powiedziałaś, że boję się ciebie kochać. Być może jest to prawda, ponieważ obawiam się miłości do jakiegokolwiek kobiety.

Ale ty posługujesz się miłością. Wszyscy mężczyźni, którzy ci ją zaoferowali, służyli twojej sprawie.'

— Nie zaprzeczam. Kochani tylko bohaterów, gdyż tylko bohaterowie zapewniają obecność Prawa na tym poziomie Ziemi.

— Mało mnie obchodzi, czy zwycięży Chaos czy Prawo. Kieruje mną wyłącznie osobista nienawiść do Theleb K'aarna, a nie służba czyjejś sprawie.

— A gdybym ci powiedziała, że Theleb K'aarn zagraża ludziom z Tanelorn?

— Niemożliwe. Tanelorn jest wieczne.

— Oczywiście. Ale nie jego mieszkańcy. Wiem o tym. Niejednokrotnie dotknęły ich różne katastrofy. Władcy Chaosu nienawidzą Tanelorn, ale nie mogą go bezpośrednio zaatakować. Pomogą więc każdemu śmiertelnikowi, który uzna, że wie, jak zniszczyć zdrajców Chaosu.

Elryk nie mógł nie przyznać jej racji.

— A czy wiesz, że Theleb K'aarn chce zaatakować mieszkańców Tanelorn przy pomocy Chaosu?

— Tak.

— Niszcząc jego plan zdobycia karawany Rackhira, jeszcze bardziej zwiększyłeś jego nienawiść do mieszkańców Tanelorn. W Troos odkrył stare księgi magiczne pochodzące z okresu Skazanego Ludu.

— To niemożliwe! Przecież oni żyli tysiące lat przed powstaniem Melniboné!

— To prawda, ale Troos pochodzi właśnie z okresu Skazanego Ludu. A ludzie tamtych czasów opracowali wielkie wynalazki i sposoby na przechowywanie wiedzy.

— Dobrze. Gotów jestem uwierzyć, że Theleb K'aarn znalazł te księgi. Czego się z nich dowiedział?

— Odkryły przed nim sposób na złamanie bariery, która odgradza różne poziomy Ziemi. Dla nas pozostałe poziomy są tajemnicą. Nawet nasi przodkowie mogli zaledwie snuć przypuszczenia na ich temat. Wiem niewiele więcej od ciebie o tej sprawie. Władcy Górnych Światów mogą czasami przemieszczać się pomiędzy warstwami przestrzennymi i czasowymi, ale nie śmiertelnicy. Przynajmniej w naszej epoce.

— Więc co takiego zrobił Theleb K'aarn? Na pewno potrzebował ogromnej mocy, aby zrobić wyrwę w barierze... Nie jest tak potężny...

— To prawda, ale ma silnych sojuszników wśród Władców Chaosu. Pomogli mu władcy Entropii. Oni zawsze stawali przy każdym, kto dawał im możliwość zniszczenia Tanelorn. W Lesie Troos znalazł nie tylko manuskrypt, ale i niektóre wynalazki Skazanego Ludu, które spowodowały ich zgubę. Oczywiście były one bezużyteczne w jego rękach, aż do czasu, gdy Władcy Chaosu pokazali mu, jak można je uruchomić dzięki siłom stworzenia.

— I uruchomił je? Gdzie?

— Przewiózł aparaturę w ten rejon. Potrzebował bowiem przestrzeni i kryjówek przed ciekawskimi. Wytropiłam go jednak.

— Czy jest na Pustyni Westchnień?

— Tak. Gdybyś jechał dalej prosto, wpadłbyś na niego. Myślę, że wiem, co spowodowało twoją wyprawę na pustynię. To była chęć wyciągnięcia go z kryjówek.

— Chciałem tylko umrzeć! — jęknął Elryk starając się pohamować złość.

Myshella znowu się uśmiechnęła.

— Jak wolisz. . .

— Chcesz powiedzieć, iż los tak mną manipuluje, że nie mogę nawet umrzeć, kiedy zechcę?

— Spytaj samego siebie, a uzyskasz odpowiedź.

Na twarzy księcia z Melniboné pojawiła się rozpacz.

— Więc kto mną kieruje? Ku jakiemu końcowi mnie prowadzi?

— Sam będziesz musiał to odkryć.

— Czy chcesz, abym walczył przeciw Chaosowi? Przecież Chaos mi pomaga, a ja oddałem się Ariochowi. . .

— Ale jesteś śmiertelnikiem, Elryku, a Arioch wciąż zwleka z pomocą. Z pewnością dlatego, że zna przyszłość.

— A co ty wiesz o przyszłości?

— Niewiele. . . i nie mogę ci nic powiedzieć. Śmiertelnik zawsze może wybrać, komu ma służyć.

— Ja już wybrałem. Służę Chaosowi.

— Ale twoje kłopoty w większości wynikają z faktu, że twoja lojalność jest podzielona.

— To prawda.

— A walcząc przeciw Theleb K'aarnowi nie działasz dla Prawa, tylko po prostu zmierzasz się z sojusznikiem Chaosu. A ci z Chaosu często biją się między sobą.

— To też prawda. Powszechnie wiadome jest, że poprzysiągłem zniszczyć Theleb K'aarna, obojętnie czy służy on Prawu, czy Chaosowi.

— Więc nic nie ryzykujesz. Nie przestaniesz być lojalny wobec swego pana, zwłaszcza, że nie poświęca ci zbyt wiele uwagi.

— Opowiedz mi o planach Theleb K'aarna.

— Sam będziesz musiał je odkryć. Oto twój koń.

Myshella wyciągnęła rękę i zobaczył stojącego na szczycie wydmy złocistego ogiera.

— Jedź dalej na północny-wschód. Uważaj na pułapki czarownika; nie wpadnij w żadną z nich.

— A jeśli po prostu wrócę do Tanelorn? Albo będę dalej starał się umrzeć?

— Przecież tego nie zrobisz, Elryku. Jesteś lojalny wobec swoich przyjaciół, a w głębi serca chciałbyś służyć temu, co ja reprezentuję. Poza tym nienawidzisz Theleb K'aarna. Nie przypuszczam, abyś chciał teraz umrzeć.

Zmarszczył brwi.

— Jeszcze raz zostałem obarczony odpowiedzialnością, której nie chcę. Zostałem złapany w pułapkę uczuć, którymi my, Melnibonéanie, nauczyliśmy się gardzić. Myshello, postąpię tak, jak zechcesz!

— Bądź ostrożny. Theleb K'aarn dysponuje mocą, do której nie jesteś przyzwyczajony.

Popatrzyła na niego, a on wziął ją nagle w ramiona i zaczął całować. Łzy, spływające po jego twarzy, mieszały się ze łzami Cesarzowej Świtu.

Po godzinie ubrali się i Myshella wsiadła na swojego ptaka. Gdy na nim odlatywała, stworzenie odwróciło się ku Melnibonéaninowi i otworzywszy dziób pożegnało się z nim. Natomiast Myshella nie powiedziała ani słowa, a nawet nie spojrzała na niego. Po chwili ptak był tylko kropką na olbrzymim niebie.

Wtedy Elryk ruszył na północny-wschód.

Rozdział 3

ZNISZCZONA BARIERA

Elryk zatrzymał wierzchowca pod występem skalnym. W końcu dotarł do wielkiego obozu Theleb K'aarna. Żółty namiot rozbito w otoczonej skałami i wydmami kotlinie. Obok stał wóz i dwa konie oraz dziwna, metalowa konstrukcja. Zawarta w wielkiej, kryształowej kuli z wąskim otworem u góry, była asymetryczna i złożona z wygiętych płaszczyzn. Wyglądała na wypełnioną mnóstwem na wpół ukształtowanych twarzy, zwierząt i budowli. Obrazy zmieniały się ciągle. Ta rzecz została stworzona przez istoty, których wyobraźnia musiała być jeszcze większa i dziwniejsza niż przodków Elryka. Stopili oni ze sobą metale i tworzywa, których logika nie pozwalała łączyć. Było to dzieło Chaosu, pomagało zrozumieć, w jaki sposób Skazany Lud sam się zniszczył. W jego głębi coś pulsowało; równie słabo, jak serce umierającego ptaka. W swoim życiu Elryk widział wiele okropności. Niewiele z nich go poruszyło, ale ta rzecz, mimo że wyglądała niegroźnie, przyprawiła go o gorzki niesmak w ustach. Patrzył nieruchomo mimo odrazy, zafascynowany przez maszynę w kryształowej kuli, aż do momentu, gdy Theleb K'aarn wyszedł z namiotu.

Czarownik z Pan Tang jeszcze bardziej schudł od czasu ich ostatniego spotkania. Ale niezdrowa energia emanowała z oczu i rozpałała policzki. Jego gesty były nerwowe. Zbliżył się do wielkiej kuli. Elryk mógł usłyszeć to, co do dębie pomrukiwał.

— Dobrze, dobrze... Elryk i wszyscy jego sojusznicy niedługo zginą... Albinos będzie żałować, że zasłużył sobie na moją zemstę i uczynił ze mnie tego, kim teraz jestem. Kiedy umrze, Królowa Yishana zrozumie swój błąd i odda się mi. Jak mogła kochać tego bladego ducha? Jak mogła go woleć od człowieka o moim talencie?

Elryk prawie już zapomniał, że czarownik był wprost opętany przez miłość do Królowej Jharkorn — Yishany — która użyła przeciwko niemu czegoś silniejszego od magii. Zazdrość popchnęła Theleb K'aarna przeciw Melnibonéaninowi. Przemieniła go ze spokojnego badacza czarnej magii w nienawidzącą bestię, się-

gającą do najokropniejszych zaklęć.

Theleb K'aarn kreślił palcem na kryształach skomplikowane wzory. Po każdym znaku maszyna zaczynała pulsować coraz szybciej. Dziwne kolory ukazały się w pobudzonych do życia częściach. Coś zaczęło cuchnąć. Maszyna świeciła coraz mocniej. Jej kształty zmieniły się, jakby stawała się płynna i wirowała wewnątrz pucharu.

Złocisty ogier poruszył się niespokojnie. Elryk pogłaskał go po pysku uspokajająco. Theleb K'aarn był słabo widoczny na tle zmieniających się światła kuli. Nadal regularnie coś mamrotał, ale stukot maszyny zagłuszał jego słowa. Prawą ręką dalej kreślił niewidoczne diagramy na kryształowej powierzchni.

Wydawało się, że niebo pociemniało, mimo iż zostało jeszcze sporo czasu do końca dnia. Jednak działo się tak tylko w otoczeniu maszyny, jakby samotna chmura zatrzymała się nad nimi. W tej chwili Theleb K'aarn cofnął się z twarzą oświetloną przez kulę i z rozbieganymi oczami.

— Przybądź! — krzyknął. — Bariera została zniszczona!

Wtedy Elryk zobaczył olbrzymi cień za kulą. Coś warknęło. Coś łuskowatego poruszało się powoli do przodu, wyciągając ogromną łapę. Albinosowi przypominało to trochę smoka wychodzącego z grotu, ale było jeszcze większe i miało na grzbiecie podwójny grzebień ostrych kości. To coś otworzyło pysk ukazując niezliczone zęby. Ziemia zatrzęsa się, gdy okrążyło kulę i stanęło przed czarownikiem gapiąc się na niego tępymi oczami. Po kolejnym hałasie ukazał się następny wielki gad przybyły z innego Okresu Czasu. Za nim szły następne. Potem ukazali się ci, co je prowadzili. Rumak Elryka starał się uciec, ale wojownikowi udało się go przytrzymać. Książę obserwował stworzenia, które głaskały łagodnie łby potworów. Poruszały się na dwóch nogach i wydawało się, że mają dwie ręce. Były jednak również gadami. Wyższe od ludzi trzymały zdobione przyrządy, wyglądające na broń. Skórzane kaptury zakrywały czarno-zielone głowy.

Theleb K'aarn zaczął się śmiać.

— Udało mi się! Zniszczyłem barierę. Dzięki Władcom Chaosu mam sojuszników, którym magia Elryka nie może nic zrobić! Nie podlegają przecież prawom tego poziomu, są niezniszczalni i słuchają tylko Theleb K'aarna!

Bestie i wojownicy zawyli.

— Teraz ruszmy na Tanelorn! — krzyczał czarownik. — Potem pójdziemy do Jharkornu!

Przez chwilę Elryk poczuł sympatię do Theleb K'aarna. Czarownik nigdy by tego nie dokonał bez pomocy Chaosu. Oddał mu się, stał się jego narzędziem ze względu na swoją absurdalną miłość do starzejącej się Królowej Jharkorn. Albinos wiedział, iż nic nie może uczynić przeciwko tym gadom. Powinien wrócić do Tanelorn i ostrzec swoich przyjaciół, aby uciekli z miasta. Pozostawała jeszcze nadzieja, że uda się wysłać przerażających intruzów tam, skąd przybyli. Nagle jego straszliwie przerażony ogier zaczął głośno rzeć. Theleb K'aarn spojrział w kierunku

ku głosu i dojrzał Elryka.

Melnibonéanin domyślił się, że prawdopodobnie broń przybyszy mogła go zniszczyć z dużej odległości. Wyciągnął Zwiastuna Burzy, uderzył konia ostrogami i ruszył prosto na maszynę. Chciał skorzystać z chwilowego zaskoczenia Theleb K'aarna, który nie zdążył jeszcze wydać rozkazów swoim sojusznikom. Chciał zniszczyć maszynę albo przynajmniej uszkodzić jakąś jej ważną część w nadziei, że to wyśle potwory z powrotem do ich poziomu. Ominął Theleb K'aarna i uderzył w kryształową ścianę.

Czarny Miecz wbił się w nią. Porwany przez siłę ciosu, Elryk wyleciał z siodła i przeszedł przez kryształ nie tłukąc go. Znalazł się w środku maszyny, potem poczuł, że jego ciało uległo dezintegracji. . .

. . . Leżał na trawie, a wokół nie było pustyni, Theleb K'aarna, maszyny ani potworów. Słońce świeciło nie za mocno, a dookoła szeleściły spokojnie liście. Ptaki śpiewały, kiedy nagle usłyszał jakiś głos.

— Burza się skończyła. Czy jesteś Elrykiem z Melniboné? Albinos się odwrócił i zobaczył wysokiego mężczyznę ubranego w srebrną kolczugę sięgającą aż do kolan i okrągły hełm z tego samego metalu. Szkarłatny płaszcz okrywał plecy i ramiona. U boku wisiał mu długi miecz. Stroju dopełniały spodnie z cienkiej skóry i buty z zielonego jelenia. Lecz to rysy nieznanego przyciągnęły uwagę Elryka. Przypominał bardziej Melnibonéanina niż prawdziwego człowieka. Poza tym na lewej ręce nieznanomy nosił rękawiczkę o sześciu palcach, wysadzaną ciemnymi kamieniami, a jego prawe oko było przykryte chustą wysadzaną takimi samymi klejnotami. Drugie oko było skośne i wielkie, o żółtej źrenicy i błękitnej tęczówce.

— Jestem Elryk z Melniboné — powiedział albinos. — Czy tobie mam podziękować za uratowanie mnie od potworów wezwanych przez Theleb K'aarna.

— To nie ja cię tutaj sprowadziłem i nigdy nie słyszałem o żadnym Theleb K'aarnie. Powiedziano mi, że mam tylko jedną szansę otrzymać twoją pomoc; że muszę być dokładnie w tym czasie i w tym miejscu. Nazywam się Corum Jhaelen Irsei, Księżę Szkarłatnej Sukni i prowadzę bardzo ważne poszukiwania.

Elryk zmarszczył czoło. Imię wydawało mu się znajome, ale nie umiał go usytuować w swoim życiu. To było jakby w starym śnie.

— Gdzie znajduje się to, czego szukasz? — spytał albinos chowając miecz runiczny.

— Nigdzie. Nie na twoim poziomie, ani w twoim czasie, Księżę Elryku. Chciałbym, abyś mi pomógł w walce z Władcami Chaosu. Zdołałem wyeliminować już dwóch — Ariocha i Xiombarga, ale trzeci, najpotężniejszy. . .

— Ariocha z Chaosu? . . . i Xiombarga? Pokonałeś dwóch spośród najsilniejszych Władców Chaosu? Ale niecały miesiąc temu rozmawiałem z Ariochem. On jest moim panem. . .

— Liczne są poziomy istnienia — powiedział spokojnie Corum. — W nie-

których Chaos jest potężny, w innych słaby. W niektórych nawet nie istnieją jego Władcy. Musisz uwierzyć, że tutaj nie ma już Ariocha i Xiombarga. Pozostał tylko trzeci, najpotężniejszy — Król Manebolde.

Twarz Elryka sposepniała.

— Na moim poziomie wcale nie jest silniejszy od Ariocha czy Xiombarga... Wszystko to wygląda mi na parodię tego, co znam...

— Postaram ci się to wytłumaczyć. Z jakiegoś powodu los wybrał mnie na herosa, który ma wypędzić Chaos z piętnastu Poziomów Ziemi. Obecnie podążam ku miastu, które mam odkryć, a zwie się ono Tanelorn. Mam nadzieję otrzymać tam pomoc. Ale mój przewodnik został uwięziony w zamku, niedaleko stąd i muszę go teraz uwolnić. Powiedziano mi, w jaki sposób mam uzyskać pomoc. Dodano, iż pomagając mi pomożesz także sobie, i jeśli zwyciężę, otrzymasz coś, co ułatwi twoje zadanie.

— Kto to powiedział?

— Mądry człowiek.

Elryk usiadł na złamanym drzewie i schował twarz w dłonie.

— Zostałem przeniesiony tutaj w nieodpowiedniej chwili. Czy mógłbyś mi powiedzieć prawdę, Książę Corumie?

Nagle podniósł głowę.

— Czy to nie wspaniałe, że rozmawiamy ze sobą? Jak to jest możliwe?

— To też mi wytłumaczono. Musimy umieć porozumiewać się, bo „tworzymy części tej samej rzeczy”. Nie pytaj mnie, co to znaczy, sam tego nie wiem.

Albinos wzruszył ramionami.

— Może to tylko iluzja. Może zginałem lub pożarła mnie maszyna Theleb K'aarna... Ale oczywiście nie mam wyboru, więc przyjmuję twoją propozycję. W nadziei, że potem mi to pomoże.

Corum wyszedł na chwilę z lasu, aby powrócić z dwoma końmi, czarnym i białym. Melnibonéanin wsiadł na czarnego rumaka.

— Mówiłeś coś o Tanelorn. Właśnie aby mu pomóc, znalazłem się w tym świecie.

— Więc wiesz, gdzie jest Tanelorn? — spytał Corum.

— W moim świecie, tak... ale gdzie może być tutaj?

— Tanelorn istnieje na wszystkich poziomach, lecz pod różnymi postaciami. Jest tylko jedno Tanelorn, w różnych formach.

Jechali wąską ścieżką przez las. Elryk nie zastanawiał się nad tym, co mu powiedział Corum. Wszystko było tak podobne do snu, że postanowił nie starać się niczego zrozumieć.

— Gdzie jedziemy? Do zamku?

Corum potrząsnął głową.

— Najpierw po Trzeciego Herosa, Tego Który Ma Wiele Imion. Powiedziano mi, że wyjdzie nam naprzeciw wyrwany ze swojego Wieku, aby dopełnić Trzech

Którzy Są Jednym.

— Co oznaczają te słowa? Trzech Którzy Są Jednym?

— Nie wiem. Rozumiem tylko tyle, że musimy być trzej, aby uwolnić mojego przewodnika.

— Tak — melancholijnie szepnął Elryk — a będziemy musieli być jeszcze liczniejsi, aby uratować Tanelorn od gadów Theleb K'aarna. W tej chwili na pewno już zbliżają się do miasta.

Rozdział 4

WIEŻA KRÓLA ZNIKA

Towarzysze wjechali na piękną łąkę. W oddali lśnił błękitem ocean. Ten świat wydawał się Elrykowi tak spokojny, że nie mógł zrozumieć, w jaki sposób siły Chaosu mogą mu zagrażać. Po drodze Corum wyjaśnił mu, że jego rękawiczka była w rzeczywistości ręką obcego stworzenia wszczepioną w jego ramię, a oko też było przeszczepem. Pozwalało mu ono dojrzeć, co się dzieje w innych światach i poszukiwać tam pomocy, gdy jej potrzebował.

— Wszystko, co mówisz, sprawia, iż w porównaniu z tym magia i kosmologia z mojego poziomu wydają się bardzo proste — powiedział z uśmiechem Elryk.

— To obcość tych rzeczy sprawia, że wydają się skomplikowane. Gdybym nagle znalazł się w twoim świecie, też niewiele bym zrozumiał. Zresztą i ten poziom nie jest mój, choć go pod wieloma względami przypomina. Mamy wspólną cechę Elryku: zostaliśmy skazani na granie roli w ciągłej walce pomiędzy Władcami Górnych Poziomów. I nigdy nie zrozumiemy, dlaczego ta walka trwa, ani dlaczego jest wieczna. Bijemy się, cierpimy, ale nigdy nie wiemy dlaczego.

— Masz rację — przytaknął szczerze Elryk. — Łączy nas wiele rzeczy.

Corum chciał coś powiedzieć, lecz w tej chwili zobaczył jakąś sylwetkę przed nimi. Był to wojownik na koniu. Wydawało się, że stoi nieruchomo czekając na nich.

Ostrożnie ruszyli do przodu.

Wojownik patrzył na nich rozkojarzonym wzrokiem. Był tego samego wzrostu co Corum i Elryk, ale bardziej masywny. Miał czarną skórę. Na głowie i ramionach nosił niedźwiedzią skórę. Jego zbroja była równie czarna co skóra. Nie posiadała żadnych ozdób. U boku wisała mu czarna pochwa z mieczem. Jechał na wielkim rumaku bojowym. U siodła wisała okrągła tarcza. Gdy Elryk i Corum zbliżyli się, zdumienie ukazało się na jego negroidalnej twarzy.

— Znam was! — krzyknął. — Znam was obu!

Elrykowi także wydawało się, że go rozpoznaje. Podobnie jak twarz Coruma była znajoma.

— Jak przybyłeś tutaj, do Balwyn, przyjacielu? — spytał Corum.

— Balwyn Moor? To tutaj? Jestem tu zaledwie od chwili. Przedtem... Ach! Znowu zapomniałem... Jakieś imię... i jeszcze jedno! Elryk! Corum! Ja jestem... Teraz jestem...

— Skąd znasz nasze imiona? — spytał Elryk.

Zaczynał się obawiać. Czuł, że lepiej by było, gdyby nie postawił tego pytania i nie usłyszał na nie odpowiedzi.

— Dlatego, że... Nie widzicie? Jestem Elrykiem. Jestem Corumem... Och! To najstraszliwsze z cierpień... Ale byłem Corumem i Elrykiem... lub będę.

— A jak się nazywasz! — spytał Elryk.

— Mam tysiąc imion. Bo byłem tysiącem bohaterów... Nazywam się John Daker... Ereko... Urlik... I wiele innych... Wszystkie te wspomnienia, żywoty, sny. Spojrzał na nich bolesnym wzrokiem. Czy nie rozumiecie? Czy jestem jedynym skazanym na zrozumienie? Jestem tym, którego nazywają Wiecznym Wojownikiem, bohaterem, który zawsze istniał. Jestem Elrykiem z Melniboné, jestem Corumem Jhaelen Irsei. Jestem wami. Wszyscy trzej jesteśmy tą samą istotą, podobnie jak wielu innych. Tworzymy jedność — skazaną na wieczną walkę bez zrozumienia jej celu. Och! Moja głowa jest taka ciężka! Kto mnie tak torturuje?

Elrykowi zaschło w gardle. Z trudem wydobył z siebie

— Mówisz, że jesteś moją inkarnacją?

— Możesz to tak nazwać. Ale to wy dwaj jesteście jednymi z moich inkarnacji!

— Wiec — powiedział powoli Corum — to rozumiał Pooloryghiag mówiąc o Trzech Którzy Są Jednym. Jesteśmy różnymi postaciami tego samego człowieka. Siłę mamy potrójną, bo wyrwano nas z trzech różnych światów. Jesteśmy jedną siłą zdolną zwalczyć Voilodiona Ghagnasdiaka z Wieży Która Znika.

— Czy to tam uwięziony został twój przewodnik? — spytał Elryk, z sympatią patrząc na czarnego wojownika, który nie przestawał mamrotać.

— Tak! Wieża Która Znika przechodzi ciągle z jednego poziomu do drugiego, bez przerwy zmienia wiek i nigdy nie pozostaje dłużej niż kilka chwil w tym samym miejscu. Ale skoro jesteśmy trzema wcieleniami tego samego bohatera, być może uda się nam zastosować jakieś zaklęcie i zaatakować wieżę. A gdy już uwolnimy mojego przewodnika, udamy się do Tanelorn...

— Tanelorn? — Czarny wojownik spojrzał na Coruma z nadzieją w głosie. — Ja też szukam Tanelorn. Być może tam znajdę jakiś środek, aby odkryć sposób na niepamiętanie o moich wszystkich inkarnacjach! Muszę znaleźć Tanelorn!

— Ja też — zauważył Elryk. — Na moim poziomie jego mieszkańcy są w strasliwym niebezpieczeństwie.

— Mamy wspólny cel i jedną osobowość — zauważył Corum. — Chodźmy więc uwolnić mojego przewodnika, a potem ruszemy razem w drogę.

— Pomogę wam z całego serca — powiedział czarny olbrzym.

— A jak mamy się do ciebie zwracać? — spytał Elryk. — Jesteś przecież nami.

— Mówcie do mnie Erekoze. To imię podoba mi się najbardziej, bowiem pod nim znalazłem się najbliżej zapomnienia i miłości.

— Zazdroszczę ci tego. Ja nigdy nie byłem tak blisko zapomnienia — powiedział Elryk.

— Nawet nie wiecie, ile muszę zapomnieć — westchnął czarny wojownik. — Teraz Corumie... powiedz, którędy wiedzie droga do Wieży Która Znika?

— Oto ona. Ale najpierw musimy zejść do Darkwale.

Elryk miał pewne kłopoty z przyjęciem do wiadomości tego, co usłyszał. Implikowało to bowiem, że wszechświat, a raczej multiświat, podzielono na warstwy życia. Czas stał się czymś bez znaczenia, chyba że dotyczył życia człowieka lub któregoś fragmentu historii. Istnieją poziomy, gdzie nieznana jest Równina Kosmiczna — tak twierdził Corum. Przez chwilę dał się ponieść myśli zachęcającej do zapomnienia o Theleb K'aarnie, Myshellu, Tanelorn i całej reszcie i poświęcenia się badaniu nieskończonych światów. Wiedział jednak, że jest to niemożliwe. Jeśli Erekoze mówił prawdę, to on już istniał na tych wszystkich poziomach. Siła, którą nazywano losem, przyjęła go do tego świata, aby wykonał dokładnie określone zadanie. Coś, od czego zależy los tysiąca poziomów, coś tak ważnego, że sprowadzono tu aż trzy różne inkarnacje. Spojrzał z zainteresowaniem na swoich towarzyszy. Czy naprawdę byli nim?

Zaczął trochę podzielać rozpacz Erekoze'a skazanego na pamiętanie o wszystkich inkarnacjach, wszystkich swoich biedach, absurdalnych walkach; nigdy nie rozumiejąc jednak dlaczego. Oczywiście, jeśli w ogóle istniała jakaś odpowiedź na to pytanie.

Darkwale — rzekł Corum, wskazując ręką dolinę. — Powiedziano mi, że istniała tu kiedyś jakaś wioska. Nie wygląda zbyt wesoło, prawda, moi bracia?

— Widziałem gorsze miejsca — mruknął Erekoze.

Dotarli galopem do posępnych ruin. Miały dziwne kształty, jakby zostały zniszczone przez jakąś przeszłą wojnę. Kamień wyglądał na roztopiony. Corum obejrzał dokładnie ruiny i zatrzymał konia.

— To tutaj. Musimy czekać w tej fosie.

— Ale na co? — spytał Elryk.

— Na Wieżę. Właśnie tutaj się pokazuje, gdy znajduje się na tym poziomie.

— A kiedy się pokaże?

— Nie wiem. Musimy czekać. Kiedy tylko pojawi się, ruszymy, aby zdążyć do niej, zanim zniknie na nowo.

Erekose siedział na ziemi oparty plecami o kamień; pozostałość jakiegoś muru.

— Jesteś dużo cierpliwszy ode mnie — zauważył Elryk.

— Nauczyłem się być cierpliwy. Żyję przecież od momentu, gdy ruszył Czas i będę żyć aż do jego kresu.

— Kto ci powiedział, że Wieża znajdzie się tutaj? — Elryk zadał kolejne pytanie Corumowi.

— Pewien czarownik. Bez wątpienia sługa Prawa, bo jako śmiertelnik walczy z Chaosem.

— Tak jak ja — powiedział Erekose.

— I ja — dodał albinos — chociaż przysięgałem służyć Chaosowi.

Po raz kolejny spojrział na swoich towarzyszy i zrozumiał, że naprawdę są tym samym człowiekiem. Był pewien, że ich losy były bardzo podobne.

— Dlaczego szukasz Tanelorn, Erekose?

— Powiedziano mi, że tam znajdę spokój i mądrość. A również sposób powrotu do Eldren, tam bowiem żyje ta, którą kocham. A ty dlaczego tam podążasz?

— Znam Tanelorn i sądzę, że dobrze robisz zmierzając doń. Muszę go bronić na swoim poziomie, chociaż może w tej chwili moi przyjaciele już nie żyją. W Wieży mam dostać coś, co pomoże mi ich obronić. Jeśli nie będzie na to za późno.

— Ja natomiast poszukuję Tanelorn, aby uzyskać pomoc w walce z Chaosem — dodał Corum.

— Ale Tanelorn nigdy nie będzie walczyć przeciwko Chaosowi — zauważył Elryk. — Przecież dlatego jest wieczne.

— Tak, ale tak samo jak Erekose potrzebuję mądrości, a nie mieczy.

Zapadła noc. Podczas gdy jego towarzysze czuwali, Melnibonéanin starał się zasnąć. Jednak zbyt obawiał się o Tanelorn, aby mu się to udało. Czy Myshella spróbuje obronić miasto? Czy Moonglum i Rackhir przeżyją?

Co mogło na nich oczekiwać wewnątrz Wieży Która Znika? Powoli zaczął przysłuchiwać się swoim pozostałym uosobieniom, które rozmawiały o stworzeniu Darkwale.

— Słyszałem — powiedział Corum do Erekose — że Chaos zaatakował kiedyś miasto znajdujące się w spokojnej dolinie. Wieża należała wtedy do rycerza, który udzielił azylu wszystkim znieawidzonym przez Chaos. Sprowadzono do Darkwale całe legiony potworów, ale rycerz wezwał na pomoc Prawo. Ono to przeniosło Wieżę do innego wymiaru. Chaos postanowił wtedy, iż Wieża będzie podróżować przez wieczność. Nigdy nie zatrzyma się na dłużej niż na kilka godzin na tym samym poziomie. W końcu rycerz i jego towarzysze oszaleli i pozabijali się nawzajem. Wtedy Voilodion Ghagnasdiak odkrył Wieżę i zamieszkał w niej. Za późno spostrzegł swój błąd. Wieża zmieniła poziom. Od tego czasu bał się ją

opuścić, ale czuł się strasznie samotny. Przyzwyczał się do łapania wszystkich przechodzących obok niej. Kiedy zaczynają go nudzić, zabija ich.

— Więc być może twój przewodnik już nie żyje. Kim jest ten Voilodion?

— Złośliwym potworem o dużej mocy. Tyle tylko wiem o nim.

— Dla bogów musi to być ważne, skoro wezwali aż nas trzech.

— To jest ważne też dla mnie — powiedział Corum. — Przewodnik jest moim przyjacielem. Poza tym, jeśli szybko nie znajdę Tanelorn, zagrożonych będzie piętnaście poziomów.

Erekose gorzko się zaśmiał.

— Dlaczego nie mogę... Dlaczego nie możemy nigdy mieć do czynienia z mniejszymi problemami? Na przykład domowymi? Czy ciągle losy świata muszą zależeć od nas?

— Może domowe kłopoty są jeszcze gorsze? My i tak nigdy ich nie poznamy.

Rozdział 5

JHARY-A-CONEL

— Elryku! Pośpiesz się, ona jest tutaj.

Był już świt. Albinos wstał szybko i wyjął Czarny Miecz. Z niejakim zdziwieniem zauważył, że Erekoze dzierży w dłoni prawie identyczne ostrze. Wieża Która Znika stała przed nimi. Właściwie był to mały zamek z szarego kamienia. Jego kontury były miejscami niewyraźne.

— Trzymaj drzwi otwarte po to, aby zwabić i złapać swoich gości! — krzyknął biegnący obok albinosa czarny olbrzym.

Obraz wieży zaczął drżeć.

— Pospieszcie się! — zawołał Corum wpadając do środka.

Znaleźli się w małym przedpokoju oświetlonym oliwną lampą zawieszoną na suficie. Drzwi zamknęły się gwałtownie za nimi. Wszyscy trzej trzymali nagie miecze. Bez słowa Corum pokazał im małe okienko, widok za nim zmienił się. Zobaczyli teraz ciemnoniebieskie morze.

— Jhary! — zawołał Corum. — Jhary-a-Conel!

Usłyszeli słaby odgłos. Równie dobrze mogła być to odpowiedź na wołanie Coruma, co krzyk szczura.

— Jhary! — krzyknął znowu Corum. — Voilodion Ghavasdiak? Czy przyjdiesz tu zmierzyć się ze mną, czy też wyniosłeś się stąd?

— Jestem tu nadal. Czego chcecie?

Głos pochodził z sąsiedniego pomieszczenia. Tam też ostrożnie weszli trzej herosi. W mrocznej sali dostrzegli Voilodiona. Był to karzeł ubrany w wielobarwne szmatki z jedwabiu i satyny. W swojej maleńkiej ręce trzymał mieczyk. Głowa była nieproporcjonalnie duża w stosunku do ciała, ale ładna. Gęste, czarne brwi zrastały się nad tanem. Uśmiechał się.

— Nareszcie nowi goście, którzy rozwieją nudę. Możecie schować swoje miecze.

— Znam los, jaki spotyka twoich gości — powiedział Corum. — Przybyliśmy tutaj, aby uwolnić Jhary-a-Conela. Oddaj go nam, a nie uczynimy ci krzywdy.

Z twarzy karła emanowała radość i pewność siebie.

— Ale ja jestem bardzo potężny. Nie pokonacie mnie. Spróbujcie. . .

Machnął mieczykiem i błysk rozjaśnił salę. Elryk, którego nagle przepełniła złość, ruszył do przodu.

— Wiedz, Voilodionie, że jestem Elryk z Melniboné, a moja moc jest wielka. Noszę Czarny Miecz, który jest spragniony i z radością będzie się delectował twoją duszą. Chyba że wypuścisz przyjaciela księcia Coruma.

— Miecze? Jaką one mogą posiadać moc? — zaśmiał się karzeł.

— To nie są zwykłe miecze — przerwał mu Erekose. — A my też zostaliśmy tu sprowadzeni przez siły, o których nie masz pojęcia. Sami bogowie wyrwali nas z naszych epok, abyśmy uwolnili Jhary-a-Conela.

— Mylicie się, albo chcecie mnie oszukać. Ten Jhary jest dowcipny, to prawda, ale dłaczegóż bogowie mieliby się nim interesować?

Elryk podniósł Zwiastuna Burzy, miecz zawył żarłocznie oczekując krwi. Wtedy krasnal wyjął skądś maleńką, żółtą kulkę i rzucił nią w albinosa. Uderzyła go w czoło. Upadł na ziemię wypuszczając oręż z ręki. Na wpół przytomny starał się go podnieść, ale był za słaby. Chciał wezwać Ariocho, lecz przypomniał sobie, że nie istniał on już na tym świecie. Nie miał w tym miejscu żadnych nadludzkich sojuszników. Pozostał mu tylko miecz.

Erekose popchnął Czarny Miecz ku Elrykowi. Gdy albinos chwycił ostrze, poczuł się silniejszy. Mimo to był nadal wart tyle co zwykły śmiertelnik. Karzeł dalej się śmiał. Rzucił w Elryka kolejną kulką, ale tym razem Zwiastun Burzy odparł atak. Kulka przeleciała przez komnatę i eksplodowała na ścianie. Coś czarnego wydobyło się z płomieni.

— Niebezpiecznie jest niszczyć kulki. Teraz to, co jest w nich, zniszczy was — powiedział Voilodion.

Czarna rzecz ciągle rośla.

— Jestem wolny — powiedział głos z płomieni.

— Tak! — krzyknął radośnie Voilodion. — Możesz zabić tych głupców, którzy odrzucili moją gościnność.

Rzecz przyjęła postać wielkiej, muskularnej kreatury — goryla o skórze grubej jak u nosorożca. Na plecach miała czarne skrzydła, a jej głowa była tygrysia. W owłosionych rękach trzymała broń w kształcie sierpa. Potwór z rykiem rzucił się na Elryka, na szczęście jego broń chybiła o milimetry.

— Nic nie widzę swoim okiem! — jęknął Corum — Nie mogę wezwać pomocy! Jesteśmy zdani na samych siebie.

Voilodion rzucił kolejne kulki ku Erekose i Corumowi. Obaj je odbili powodując kolejne eksplozje. Natychmiast kolejni ludzie-tygrysy zaczęli się z nich wydobywać i towarzysze Elryka wraz z nim zostali zepchnięci do obrony.

Uchylając się przed kolejnym ciosem, Elryk starał się przypomnieć sobie jakieś zaklęcie, ale wszystkie, które mu przychodziły do głowy, były bezskuteczne na tym poziomie. Chciał pchnąć mieczem człowieka-tygrysa, ale ten sparował cios sierpem. Był równie potężny co szybki. Czarne skrzydła zaczęły się poruszać i stworzenie z rykiem ruszyło do ataku wymachując sierpem.

Elryk poczuł, że ogarnia go panika. Zwiastun Burzy nie dawał mu siły, której tak potrzebował, a jego magia była beżużyteczna. Z wielkim trudem odparł kolejny atak i ciął wroga poprzez brzuch i udo. Ostrze wbiło się w ciało, lecz krew się nie ukazała. Potwór nie zwrócił na to nawet uwagi i znów wzbił się ku sufitowi.

Melnibonéanin zauważył, że jego towarzysze byli w równie trudnej sytuacji. Na ich twarzach malowała się konsternacja. Corum spodziewał się łatwego zwycięstwa, a teraz zaczął obawiać się kłęski. Voilodion nadal krzyczał z radości i rzucał nowe kulki. Potwory wkrótce wypełniły pomieszczenie. Elryk, Erekoze i Corum cofnęli się ku najodleglejszej ścianie. Przeciwnicy otoczyli ich szybko, wrzeszcząc i łopocząc skrzydłami.

— Obawiam się, że sprowadziłem was tylko po to, byśmy spotkali się ze śmiercią — powiedział Corum ciężko dysząc. — Nikt mnie nie uprzedził, że nasza moc będzie tu tak ograniczona. Wieża musi tak szybko zmieniać poziomy, iż nie można stosować w niej magii.

— Przecież ten krasnal ją stosuje — zauważył Elryk odpierając kolejne ciosy. — Gdybym tylko zdołał ubić jednego z tych. . .

Albinos opierał się plecami o ścianę. Sierp rozciął mu policzek, kolejny pe-lerynę, następny zranił go w ramię. Elryk zadał czyste cięcie najbliższemu przeciwnikowi i odciął mu całe ucho. Stworzenie krzyknęło, a Zwiastun Burzy zawtórował mu przecinając gardło. Jednak ostrze zaledwie trochę zagłębiło się w ciało. Stworzenie zachwiało się jedynie na krótką chwilę. Melnibonéanin skorzystał z tego, aby wyrwać mu sierp i uderzyć nim prosto w pierś człowieka-tygrysa. Trysnęła krew i potwór zawył.

— Miałem rację! — krzyknął Elryk do swoich towarzyszy. — Można im coś zrobić tylko ich własną bronią!

Książę skoczył do przodu z sierpem w jednej, a Zwiastunem Burzy w drugiej ręce. Ludzie-tygrysy cofnęli się, a potem pofrunęli do góry. Elryk podbiegł ku Voilodionowi. Karzeł krzyknął ze strachu i uciekł drzwiami, zbyt małymi, aby wojownik mógł za nim pójść.

Wtedy potwory zaatakowały od nowa. Towarzysze Elryka bronili się tym razem w ten sposób, by zdobyć sierpy swoich przeciwników. Albinos zbliżając się do Coruma odciął głowę stworzeniu atakującemu księcia. Corum natychmiast schował swój miecz, chwycił sierp i pierwszym ciosem zabił trzeciego potwora. Nogą pchnął zdobytą broń ku Erekoze. Czarne pióra latały w cuchnącym powietrzu. Podłoga była śliska od krwi. Trzej herosi zdołali utorować sobie drogę aż do przedpokoju, którym weszli do Wieży. Ludzie-tygrysy ruszyli za nimi, ale teraz

musieli przedostać się przez wąskie drzwi.

Elryk spojrział w okno. Obrazy za nim ciągle się zmieniały. Tymczasem trzech towarzysze tracili siły. Krew ciekła im z licznych ran. Walka trwała nadal, a albinos kontynuował ją tylko dzięki resztkom energii, które przekazał mu wykuty w piekle miecz. Dwa razy o mało co nie upadł, pozostali w porę podtrzymali go. Czy miał zginąć tutaj, a przyjaciele nie mieli się nigdy o tym dowiedzieć? Przypomniawszy sobie wtedy Theleb K'aarna i jego gady. Ta myśl dodała mu trochę sił. Ciosem w brzuch zabił kolejnego potwora.

Przez utworzoną w ten sposób wyrwę w szeregach przeciwników dojrzał stojącego w sali obok Voilodiona. Karzeł zajęty był rzucaniem kolejnych kulek. Nagle krzyknął przeraźliwie i Elryk zobaczył, iż jakieś białe zwierzę z czarnymi skrzydełkami skoczyło mu na głowę. Czy było to drapieżne potomstwo bestii, które ich zaatakowały? Nie umiał sobie na to pytanie odpowiedzieć. W każdym bądź razie Voilodion był przerażony i starał się oderwać zwierzę od swej twarzy.

Wtedy nowo przybyła osoba pojawiła się tuż za karłem. Była tak samo ubrana, ale nie miała broni. Jej inteligentne oczy błyszczały w twarzy otoczonej długimi, czarnymi włosami. Wydawało się, iż coś mówi do albinosa, ale ten zajęty walką nie dosłyszał jej słów.

— Jhary! — krzyknął Corum.

— Czy to jego przyszliśmy uratować? — zapytał Elryk.

— Tak.

Melnibonéanin chciał podejść do przodu, ale Jhary-a-Conel dał mu ręką znak, by się nie ruszał. Albinos zmarszczył brwi starając się zrozumieć sens rozkazu, gdy zaatakowały go dwa potwory i musiał szybko się wycofać.

— Weźcie się pod ręce! — rozkazywał Jhary-a-Conel. — Corum w środku! A wy dwaj wyjmijcie swoje miecze!

Elryk ostatkiem sił zabił kolejnego przeciwnika, poczuł wtedy nowy ból w nodze. Z jego łydki tryskała krew.

Voilodion ciągle nie mógł poradzić sobie ze swym przeciwnikiem.

— Szybko! — krzyczał Jhary. — To wasza jedyna szansa! I moja też!

— On ma rację, przyjaciele — stwierdził Corum. — Zna się na wielu rzeczach, o których my nie mamy zielonego pojęcia.

Postąpili więc zgodnie z radą przewodnika. Erekośse chwycił w lewą rękę swój miecz, Elryk ujął prawą Zwiastuna Burzy, a Corum, stając w środku oplótł ramiona wokół nich. Coś dziwnego zaczęło się dziać z nimi. Do towarzyszy dotarł wielki strumień energii, potem zaś uczucie błogości. Stali się cztery razy silniejsi, jakby połączywszy teraz swe siły stanowili jedną istotę. Elryk zaczął się śmiać. Erekośse miał rację twierdząc, że wszyscy są jednym człowiekiem.

— Zniszczymy ich! — krzyknął i zrozumiał, że pozostali uczynili w tej samej chwili to samo. Ze śmiechem na ustach ruszyli do ataku. Miecze cięły wszystko co napotykały, a nowe siły wciąż napływały do ich żył.

Ludzie-tygrysy zaczęli cofać się w popłochu, Trzej Którzy Są Jednym dalej siali spustoszenie. Byli pokryci krwią wrogów. Niezwyciężeni, zjednoczeni w masakrze. Nagle podłoga zaczęła trząść się pod ich krokami i usłyszeli, jak Voilodion krzyczy.

— Wieża! Wieża zostanie zniszczona!

Po zabiciu ostatniego potwora Elryk poczuł, że Wieża kołysze się jak statek podczas burzy.

Jhary wszedł do pomieszczenia, gdzie toczyła się walka. Widok wydał mu się nie do zniesienia, ale opanował swoje emocje.

— To prawda. Magia, której użyliśmy, musiała dać takie wyniki. Do mnie, Wąsik!

Coś, co przykrywało twarz Voilodiona, wzbiło się w powietrze, aby wylądować na ramieniu swego pana. Teraz wyglądało jak zwykły, mały biały kot, tyle że z czarnymi skrzydełkami. Voilodion upadł na ziemię i łzy popłynęły z pustych oczodołów. Krwawe łzy spływały po jego policzkach.

Elryk skoczył w przeciwległy kąt sali zrywając więź z Co rumem. Wyjrzał przez okno i zobaczył płynące po niebie niebieskie i fioletowe chmury.

— Jesteśmy na Krańcu! — krzyknął.

Odpowiedziała mu cisza. Wieża dalej trzęsła się, a obcy wiatr zgasił światła. Jedyne jasność dobiegała z kłębiącej się wewnątrz mgły. Jhary podszedł do albinosa.

— Skąd wiedziałeś, co trzeba zrobić? — spytał go wojownik.

— Bo cię znam, Elryku z Melniboné. Tak samo jak znam Erekoś. Podróżowałem po wielu odległych poziomach. Dlatego nazywają mnie czasami Towarzyszem Wojowników. Muszę teraz odnaleźć swój miecz, worek i kapelusz. Na pewno są one w piwniczce Voilodiona razem z resztą jego łupów.

— Ale Wieża? Czy jeśli się rozpadnie... to zginiemy?

— Może. Chodź, Elryku. Pomożesz mi poszukać kapelusza.

— W takiej chwili chcesz szukać... kapelusza?

— Tak.

Jhary powrócił do komnaty, gdzie Voilodion nadal płakał.

— Książę Corumie, Panie Erekoś. Chodźcie za mną.

Corum i czarny olbrzym dołączyli do Elryka i weszli do wąskiego korytarzyka, którym ostrożnie dotarli do schodów prowadzących na dół. Jhary zapalił pochodnię i zdjął ją ze ściany. Ruszył dalej, a pozostali poszli za nim. Kawał tynku odpadł od sufitu i rozbił się tuż przed albinosem.

— Wolałbym czym prędzej opuścić tę Wieżę — powiedział do przewodnika. — Jeśli się teraz zawali, to po nas.

— Zaufaj mi — krótko odparł Jhary.

Jako że Jhary zademonstrował już swoją wiedzę, Elryk spokojnie ruszył za nim. W końcu dotarli do masywnych, metalowych drzwi.

— To piwnica Voilodiona, tu znajdziecie wszystko, czego potrzebujecie. A ja odzyskam swój kapelusz. Tylko on pasuje do mojego stroju.

— Jak otworzyć takie drzwi? — spytał Erekoze. — Całe są ze stali.

— Jeśli jeszcze raz się połączycie, to pokażę wam, jak się je otwiera.

Gdy to zrobili, usłyszeli głos Towarzysza Wojowników.

— Teraz, Corumie, uderz w nie jeden raz, nogą.

Pod lekkim pchnięciem nogi stalowe drzwi upadły, jakby były z pergaminu. Tym razem rozłączyli się z większym trudem. Wieża zachwiała się i trzech bohaterowie wpadli za przewodnikiem do piwniczki. Elryk runął na olbrzymie złote siedzenie używane zapewne jako siodło na słońce. Piwniczka była wypełniona wartościowymi przedmiotami, ubraniami, bronią, butami. Elryk poczuł mdłości myśląc o tych wszystkich, których Voilodion nazwał gośćmi i zamordował. Jhary poszukiwał zawzięcie czegoś pod stosem futer.

— Trzymaj, Elryku. To ci będzie potrzebne w Tanelorn.

Podał mu wiązkę długich kijków owiniętych cienkim jak liście metalem.

— Co to?

— Chorągwie z brązu i strzały z kwarcu. Skuteczna broń na gady z Pio.

— Znasz je? Więc musisz też znać Theleb K'aarna?

— Czarownika z Pan Tang? Znam.

Wzrok Elryka stał się prawie podejrzliwy.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Już mówiłem. Wiele przeżyłem jako Towarzysz Wojowników. Chorągwie rozstaw na murach, a strzał używaj jak lanc.

Nagle Jhary schylił się z radosnym okrzykiem na widok swojego kapelusza, który od razu umieścił na głowie. Po chwili podał Corumowi jakiś kubek.

— Weź to. Myślę, że ci się przyda.

Potem znalazł jeszcze małą torbę, którą zarzucił sobie na ramię, a następnie wyjął z kufra pierścień z nieznanym albinosowi kamieniem, wykonany z dziwnego metalu.

— Erekoze, niech to będzie twoją nagrodą.

— Wydaje mi się, że tak bardzo nie potrzebowałeś naszej pomocy — odparł z uśmiechem olbrzym.

— Mylisz się. Myślę, że nigdy nie byłem w większym niebezpieczeństwie. A teraz musimy już stąd uciekać. Ach! Jeszcze jedno, ten próżny Voilodion pokazał mi swoje bogactwa, ale nie znał całej ich wartości.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Corum.

— Zabił podróżnika, który posiadał coś, dzięki czemu Wieża przestałaby zniknąć. Nie miał jednak czasu, aby to udowodnić, bo Voilodion zabił go. Ro Runestaff. Hawkmoon miał to, gdy towarzyszyłem mu do Mrocznego Cesarstwa. — Jhary pokazał im na pozór zwykły kij.

Na widok ich głupich min dodał:

— Przepraszam. Zapominam czasami, że nie zachowujemy wszystkich wspomnień ze wszystkich inkarnacji.

— Co to jest Runestaff? — spytał Corum.

— Coś sobie przypominam, ale nie umiałbym. . . — dodał Erekoze.

— Nie ma czasu na tłumaczenia. Zbierzcie się wokół mnie — powiedział Jhary.

Gdy to uczynili, spadł dach wieży. Na szczęście nie na nich, ponieważ byli już na twardym gruncie i oddychali świeżym powietrzem. Otaczała ich ciemność.

— Nie wychodźcie z tego koła — ostrzegł ich Jhary — bo zginiecie. Pozwólcmy Runestaffowi znaleźć to, czego szukamy.

Ziemia zmieniała kolor. Powietrze było raz cieplejsze, raz zimniejsze. Mieli wrażenie, że przechodzą z jednego poziomu na drugi nie widząc nic oprócz kilku centymetrów ziemi wokół stóp. Nagle poczuli piasek pustyni pod nogami.

— Chodźmy! — krzyknął Jhary.

Wyszli z nocy i pół kroku dalej znaleźli się pod palącym słońcem.

— Olbrzymia pustynia — mruknął Erekoze.

— Czy nie rozpoznajesz tego miejsca, Elryku? — spytał z uśmiechem Jhary.

— Pustynia Westchnień?

Rozejrzał się dookoła wsłuchując się w wiatr. Zobaczył Runestaffa, który na jego oczach nagle znikł.

— Czy pójdziecie razem ze mną bronić Tanelorn? — spytał Towarzysza Wojowników.

— Nie. Musimy znaleźć maszynę Theleb K'aarna. Gdzie ona, według ciebie, może być?

— Chyba gdzieś tam — odpowiedział z wahaniem wskazując ręką kierunek.

— Więc ruszajmy!

— Ale muszę bronić Tanelorn!

— Kiedy skorzystamy z maszyny, będziesz ją musiał zniszczyć, aby Theleb K'aarn znowu jej nie wykorzystał.

— Ale Tanelorn. . .

— Czarownik jeszcze tam nie dotarł.

— Ale minęło. . .

— Mniej niż jeden dzień.

Elryk przejechał ręką po twarzy.

— Dobrze — powiedział z żalem. — Odprowadzę was do maszyny.

— Skoro Tanelorn jest tak blisko — spytał Corum — po co mamy szukać jakiegoś innego gdzie indziej?

— Bo to nie jest Tanelorn, którego poszukujemy — odpowiedział Jhary.

— Ja chyba pójdę z Elrykiem — powiedział Erekoze. — Być może. . .

Jhary przeraził się nie na żarty słysząc te słowa.

— Przyjacielu — powiedział smutno. — Spora część czasu i przestrzeni może być zniszczona. Wieczne bariery mogłyby się rozpaść, a wszechświat zginąłby. Czy nie rozumiesz? To, co stało się w Wieży Która Znika, może zdarzyć się tylko raz. A i tak niebezpieczeństwo jest równie wielkie dla wszystkich biorących w tym udział. Musicie postępować tak, jak wam radzę. Obiecuję, że znajdziecie Tanelorn tam, gdzie was zaprowadzę. Będzie to zależeć od przyszłości Elryka.

Erekose spuścił głowę na znak zgody.

— Chodźcie już — powiedział niecierpliwiąc się Elryk. — Mówicie o czasie, a dla mnie każda chwila jest cenna.

Rozdział 6

PRZEKŁĘTY

Maszyna w kuli z kryształu stała tam, gdzie Elryk widział ją po raz ostatni, zanim zjawiał się w świecie Coruma. Wyglądało na to, że Jhary wie, jak się z nią obchodzić. Szybko przyspieszył bicie jej serca, po czym kazał Corumowi i Ere-kose oprzeć się o kryształ. Następnie podał małą fiołkę Elrykowi.

— Kiedy odejdziemy, wrzuc to przez górę do środka kuli. Potem pobiegnij do swojego konia, którego widziałem niedaleko stąd i ruszaj galopem do Tanelorn.

— Dobrze — powiedział Elryk biorąc fiołkę.

Jhary dołączył do Coruma i Ere-kose.

— Pozdrów ode mnie mojego brata, Moongluma — powiedział na koniec.

— Znasz go? Co...

— Zegnaj, Elryku! Zapewne jeszcze wielokrotnie spotkamy się, ale z pewnością nie rozpoznamy się.

Maszyna zaczęła pracować coraz szybciej, ziemia zadrżała, ciemności roz-toczyły się nad nimi. Cała trójka zniknęła. Elryk szybko wrzucił fiołkę do kuli i pobiegł ku złocistemu ogierowi. Wskoczył na siodło i z paczką, którą powierzył mu Jhary, ruszył do Tanelorn.

Nagle zapadła cisza. Na powrót zrobiło się jasno. Potem usłyszał straszliwy gwizd i oślepiające światło rozbłysło na sekundę. Po chwili odwrócił się i zobaczył, że maszyna, cała kula, oraz otaczające ją skały zniknęły.

Dogonił ich, kiedy byli już bardzo blisko Tanelorn. Gady, prowadzone przez swoich łuskowatych panów, zostawiały głębokie ślady w piasku. Theleb K'aarn jechał na przedzie i coś wisiąło w poprzek jego siodła.

Jakiś cień przeleciał nad głową Elryka. Książę rozpoznał metalowego ptaka Myshelli. Siodło było puste. Stworzenie krążyło nad gadami, których panowie wysyłali ku niemu ze swej dziwnej broni ogniste smugi. Ptak nabierał wysokości, aby przed nimi uciec, ale nie przestawał krążyć nad kawalkadą. Dlaczego

był sam? Regularnie przeszywająco krzyczał jak ptasia matka, której gniazdo jest w niebezpieczeństwie.

Elryk spojrział na Theleb K'aarna i zrozumiał, że pakunkiem przytroczonym do jego siodła była Myshella. Z pewnością myśląc, że albinos nie żyje, sama zaatakowała czarownika i została pokonana. Wściekłość ogarnęła Melnibonéanina. Chciał już chwycić swój piekielny miecz, ale spojrział na wątle mury Tanelorn, dostrzegł na nich przyjaciół i pojął, że najpierw musi im pomóc.

Ale jak miał się dostać do miasta nie zauważony przez Theleb K'aarna? Jak miał przekazać chorągwie z brązu przyjaciołom? Chciał ruszyć galopem prosto ku miastu, w nadziei iż umknie wrogom. Nagle srebrny ptak wylądował tuż przed nim. Szmaragdowe oczy pełne były cierpienia.

— Książę Elryku! — powiedział ptak. — Musimy ją uratować!

Albinos potrząsnął głową.

— Najpierw muszę uratować Tanelorn.

— Pomogę ci. Wsiadaj na siodło.

Elryk spojrział na potwory. Póki co ich uwaga skierowana była na miasto, które mieli zniszczyć. Wojownik szybko przesiadł się z konia na ptaka i razem ruszyli ku Tanelorn. Ogniste smugi znów ukazały się na niebie, lecz ptak omijał je klucząc raz w prawo, raz w lewo. Wkrótce wylądowali na jednym z murów.

— Elryk! Powiedziano mi, że nie żyjesz! — Moonglum biegł ku niemu.

— Kto to powiedział?

— Myshella. . . i Theleb K'aarn, kiedy kazał nam się poddać!

— Mieli prawo tak przypuszczać — powiedział albinos ściągając pokrowiec ze swojej paczki. Weź to, Moonglumie. To ma być skuteczna broń przeciwko gadom z Pio. Rozwiń te chorągwie na murach miasta. . . Witaj, Rackhirze!

Podał kolejne chorągwie Czerwonemu Łucznikowi.

— Czy zostaniesz tu, aby walczyć razem z nami? — spytał Rackhir.

Elryk spojrział na tuzin strzał, które pozostały w paczce. Każda z nich była wyrzeźbiona tak dokładnie w wielokolorowym kwarcycie, że nawet pióra od lotek wyglądały jak prawdziwe.

— Nie — powiedział po chwili. — Spróbuję uratować Myshellę, a z powietrza te strzały okażą się przydatniejsze.

— Kiedy myślała, że zginąłeś, zaczęła zachowywać się jak szalona — stwierdził Rackhir. — Wypowiedziała wiele zaklęć przeciwko Theleb K'aarnowi, ale on obronił się. W końcu zeskoczyła ze swojego ptaka z nożem jako jedyną bronią. Czarownik okazał się silniejszy i zagroził, że ją zabije, jeśli nie damy się pozarzynać jak barany. Ale jestem pewien, że i tak zabiłby Myshellę, więc mój dylemat. . .

— Mam nadzieję, że rozwiążę go za ciebie — powiedział Elryk głaszcząc metalowego ptaka. — Zaraz ruszamy. Pamiętaj, Rackhirze, o rozwinięciu chorągwi na murach, gdy tylko będę dość wysoko.

Czerwony Łucznik skinął potakująco głową, a Elryk znalazł się jeszcze raz w powietrzu, ściskając w dłoni strzałę.

Usłyszał śmiech Theleb K'aarna i zobaczył gady ruszające do ataku na miasto. Brama Tanelorn otworzyła się nagle i ukazała się w niej grupa jeźdźców. Zapewne chcieli poświęcić się za Tanelorn, a Rackhir nie zdążył w porę odwieść ich od tego planu. Szarżowali prosto na potwory z Pio, trzymając wysoko uniesione lance i miecze. Potwory ryknęły, szeroko otwierając swe wielkie paszcze, a ich panowie skierowali swą zdobioną broń ku jeźdźcom z miasta. Rycerze spłonęli żywcem.

Albinos obniżył lot ku ziemi i Theleb K'aarn nareszcie zobaczył go. W oczach przeciwnika pojawiła się wściekłość i strach.

— Ty nie żyjesz! — krzyknął. — Zginąłeś!

Metalowe skrzydła ptaka zatrzepotały nad głową czarownika z Pan Tang.

— Żyję! Przybyłem, by cię nareszcie zniszczyć. Oddaj mi Myshellę!

Chytry uśmiech ukazał się na twarzy czarownika.

— Nie, jeśli mnie zabijesz, ona umrze. Stwory z Pio! Uderzcie z całej siły na Tanelorn i pokażcie temu szaleńcowi, co możemy zrobić!

Gadzi jeźdźcy skierowali broń na miasto. Na Rackhira, Moongluma i pozostałych obrońców. Nagle coś zabłysło na murach. Elryk zrozumiał, że nareszcie rozwinięto chorągwie. Każda nowo rozwinięta płachta metalu zaczynała świecić jak złoto. Wkrótce mur światła otoczył miasto. Stworzenia z Pio strzeliły, a bariera odbiła wszystkie smugi ognia.

— Co to? Nasza ziemską magia jest przecież bezsilna wobec potęgi Pio! — krzyknął Theleb K'aarn.

Elryk tylko uśmiechnął się.

— Ale to nie jest nasza magia, czarownika, i może oprzeć się sile Pio! A teraz oddaj mi Myshellę!

— Nie jesteś chroniony jak Tanelorn. Stworzenia z Pio, zniszczcie go!

W chwili gdy dziwna broń została skierowana przeciwko niemu, Elryk wystrzelił pierwszą strzałę. Wbiła się prosto w twarz jednego z gadzich jeźdźców. Stworzenie jęknęło chwytając rękami ostrze wbite w jego oko. Straszliwy wierzchowiec, widocznie trudny do kontrolowania, odwrócił się od oślepiającego światła bijącego od Tanelorn i galopem ruszył na pustynię. Martwy jeździec spadł z jego grzbietu. W tej samej chwili ognista smuga o centymetry minęła Elryka. Musiał wzbić się z powrotem w powietrze. Startując wystrzelił drugą strzałę i trafił kolejnego jeźdźcę w serce. Tym razem także gad-wierzchowiec spłoszył się i uciekł na pustynię. Zostało jednak jeszcze dziesięciu przeciwników i wszyscy celowali w albinosa. Na szczęście ich wierzchowce poruszały się niespokojnie, mając wyraźną ochotę ruszyć za zbiegłymi towarzyszami. Elryk pozostawił ptakowi swobodę manewrowania pomiędzy płomiennymi smugami, a sam skoncentrował się na łuku. Jego ubranie i włosy poczerniały, przypomniał sobie jedną z poprzednich jazd na ptaku: lot nad Wrzącym Morzem. Koniuszek prawego skrzydła ptaka sto-

pił się i ptak leciał chwilami niepewnie. Ale regularnie nabierali wysokości, aby po chwili spadać z góry na potwory. Melnibonéanin przy każdym pikowaniu wypuszczał kolejną strzałę. Wkrótce potem zostało już tylko dwóch jeźdźców z Pio, przygotowujących się zresztą do ucieczki. Niedaleko od nich bowiem, w miejscu gdzie stał Theleb K'aarn, ukazał się niebieski dym. Elryk wypuścił ostatnie strzały. Wbiły się w plecy stworzeń z Pio. Na pustyni pozostały już tylko trupy.

Niebieski dym rozwiął się i pojawił się z powrotem tylko koń czarownika. Obok leżało jeszcze jedno ciało. Była to Myshella, Cesarzowa Świtu. Miała podcięte gardło. Theleb K'aarn zniknął z pustyni używając swej sztuki magicznej.

Zrozpaczony Elryk wylądował na ziemi. Zeskoczył z siodła i zobaczył ciemne łązy płynące ze szmaragdowych oczu ptaka.

Kłęknął przy ciele Myshelli.

Żaden śmiertelnik nie zdołałby uczynić tego, co zrobiła wtedy Cesarzowa Świtu. Otworzyła usta i zaczęła mówić. Usta miała pełne krwi, co czyniło jej słowa trudnymi do zrozumienia.

— Elryku...

— Czy będziesz żyła? Czy masz coś...

— Nie mogę żyć, jestem martwa. Już martwa. Ale pociesz się tym, że Theleb K'aarn zyskał pogardę Władców Chaosu. Już nigdy mu nie pomogą. Okazał się w ich mniemaniu do niczego.

— Ale gdzie on jest? Muszę go ścigać. Następnym razem zabiję go! Przysięgam!

— Myślę, że ci się to uda. Nie wiem, gdzie się schronił. Elryku... ja już nie żyję, a moje dzieło jest zagrożone. Przez wieki walczyłam z Chaosem, a teraz obawiam się, iż on jeszcze bardziej się rozprzestrzeni. Niedługo będzie miała miejsce Wielka Bitwa pomiędzy Władcami Prawa a Władcami Entropii. Nici przeznaczenia mieszają się... Jakby struktura wszechświata miała się zmienić. Ty... grasz dużą rolę w tym wszystkim... Rolę... Żegnaj, Elryku!

— Myshello!

— Czy ona umarła? — spytał ptak żałosnym głosem.

— Tak — odparł ze ściśniętym gardłem Elryk.

— Więc mogę ją zabrać do Kaneloon.

Powoli Melnibonéanin podniósł ciało Cesarzowej Świtu. Jedną ręką przytrzymując zakrwawioną głowę, ułożył ją na wielkim siodle z onyksu. Wtedy ptak powiedział do niego:

— Już nigdy więcej nie zobaczymy się, Książę Elryku. Moja śmierć nastąpi, gdy tylko dotrę do Kaneloon.

Albinos pochylił głowę. Lśniące skrzydła załopotaly i wspaniałe stworzenie wzbiło się w powietrze. Elryk odprowadzał je wzrokiem aż do chwili, gdy ptak stał się maleńkim punkcikiem na niebie. Wtedy schował twarz w dłoniach, ale nie zapłakał. Czy wszystkim kobietom, które mógł pokochać, przeznaczone było

umrzeć? Czy Myshella żyłaby, gdyby pozwoliła mu zginąć, kiedy tego pragnął? Cała złość opuściła go. Czuł tylko rozpacz.

Ktoś dotknął jego ramienia i Elryk odwrócił się. Zobaczył Moongluma i Rakhira.

— Chorągwie zniknęły — powiedział Czerwony Łucznik. — Strzały także. Zostały tylko ciała tych stworzeń. Musimy je zaraz zakopać. Czy wrócisz z nami do Tanelorn, Elryku?

— Tanelorn nie może dać mi tego, czego potrzebuję. Spokoju.

— Myślę, że masz rację. Mam jeszcze w domu płyn, który uśpi niektóre z twoich wspomnień. Pomoże ci zapomnieć część tego, co wydarzyło się tutaj. . .

— Doceniłbym chyba twój płyn, ale wątpię czy. . .

— Pomoże ci. Obiecuję to. Każdemu innemu dałby zapomnienie. Ty będziesz musiał zadowolić się wytarciem kilku wspomnień.

Elryk zastanawiał się nad Corumem, Erekoze, Jhary-a-Conelem i wszystkim, co wynikało z ich wspólnych przeżyć. Jeśli umrze, zostanie wskrzeszony pod nową postacią, aby znowu walczyć i cierpieć. Cała wieczność walki i cierpienia. Gdyby tylko mógł zapomnieć. . . Oparł się naglej chęci odjechania z Tanelorn gdzieś daleko i poświęcenia się zwyczajnym, ludzkim sprawom.

— Jestem tak zmęczony bogami i walkami między nimi — szepnął wsiadając na konia, którego mu podprowadzono.

Moonglum patrzył na pustynię.

— Ale kiedy bogowie także się tym zmęczą — zauważył — będzie to radny dzień dla ludzi. Być może nasze problemy, cierpienia i walki mają jedynie rozbawić Władców Górnych Poziomów. Być może dlatego, kiedy nas tworzyli, uczynili nas tak niedoskonałymi. . .

Towarzysze skierowali wierzchowce ku Tanelorn. Wiatr smutno zawodził i piasek zaczął przykrywać zwłoki tych, którzy wypowiedzieli wojnę wieczności, aby spotkać się z inną wieczną rzeczą, jaką jest śmierć.

Przez chwilę Elryk jechał obok swoich przyjaciół powtarzając po cichu jakieś słowo. Nagle ruszył galopem i wyjął z pochwy miecz. Kary rumak pędził szybciej niż wiatr, podczas gdy jeździec nie przestawał krzyczeć głosem przepelnionym goryczą, wściekłością i żalem.

— Przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!

Ale ci co go słyszeli, również niektórzy spośród bogów, do których kiedyś się zwracał, wiedzieli dobrze, że naprawdę przeklęty jest tylko Elryk z Melniboné.